

SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI
JEROZOLIMA 1099



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXX Nr 11(351) Żelów, listopad 2025

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Grzegorza Borowca, Andrzeja Gnarrowskiego, Margarity Jaworskiej, Stefana Pastuszewskiego, Andrzeja Tchórzewskiego

Andrzej Dębkowski – „Odyseje” Stefana Rusina;
W ciemności słowa; Polska to biedny kraj; Powroty Czerniawskiego oraz Niech żyje język!

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności* (229)

Stefan Jurkowski – *List z „Klepsydrą”*

Joanna Friedrich – *Ludzka natura*

Andrzej Walter – *Polska to znaczy nigdzie*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (74)

Adam Lizakowski – *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?* (4)

Andrzej Gnarrowski – *Spowiedź pod okiem Boga*

Dariusz Pawlicki – *Opowieść o pewnym drzewie i jego drewnie*

Andrzej Wołosewicz – *Warto czasami sięgnąć po „Książkę z wierszami” oraz „Giganci odchodzą albo listopad i literatura”*

Mirosław G. Majewski – *Buszujący w antykwariatach* (6)

Anna Andrych – *53. Warszawska Jesień Poezji*

Małgorzata Kulisiewicz – *W labiryncie wiersza Witryna*

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia



Z cyklu: Pejzaże Polski

Fot. © Andrzej Dębkowski

Kronika

Literacki Nobel 2025



Literacką Nagrodę Nobla 2025 otrzymał węgierski pisarz **László Krasznahorkai**.

Nagroda została przyznana za jego „porywającą i wizjonerską twórczość, która w obliczu apokaliptycznego terroru potwierdza siłę sztuki”.

Krasznahorkai jest drugim węgierskim laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, po Imre Kertész (2002)

Urodził się w 1954 roku w Gyuli na Węgrzech. Studiował prawo, a następnie humanistykę na uniwersytetach w Segedynie i Budapeszcie.

(Więcej na stronie 11)

Konkursy



Organizatorem Konkursu jest Zielonogórski Klub Fantastyki Ad Astra, którego siedziba mieści się przy ul. Fabrycznej 13 B w Zielonej Górze.

Konkurs zostanie przeprowadzony w dniach od **1 października 2025** roku do **28 lutego 2026** roku. Lista Laureatów Konkursu zostanie ogłoszona do końca **czerwca 2026** roku.

Przesłanie zgłoszenia na Konkurs jest jednoznaczne z wyrażeniem zgody na przetwarzanie przez Organizatora danych osobowych na potrzeby Konkursu (Ustawa o ochronie danych osobowych z dn. 29.08.1997 r. (tj. Dz. U. Nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późn. zm.).

Prace muszą być napisane w języku polskim.

Organizator zastrzega sobie prawo do zmiany ram czasowych Konkursu na skutek wystąpienia zdarzeń losowych.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest napisanie opowiadania z gatunku fantastyki, inspirowanego historią, teraźniejszością lub przyszłością Zielonej Góry.

Tematem przewodnim 15. edycji Fantazji Zielonogórskich jest szeroko rozumiane pytanie: **NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT**. Dystopia? Utopia? Wielka cywilizacyjna szansa, którą zmarnowaliśmy? Zagłada, której uniknęliśmy? A może postapokaliptyczna rzeczywistość pełna gruzów i koszmarów.

Osoby niepełnoletnie mogą wziąć udział w Konkursie za zgodą rodziców lub przedstawicieli ustawowych przysyłając wraz z pracą skan zgody opiekuna.

Uczestnik Konkursu może przysłać pracę wyłącznie taką, która jest wytworem jego oryginalnej twórczości, co oznacza, że praca nie może stanowić plagiatu, być kopią innych utworów lub ich fragmentów. Praca nie może być wcześniej publikowana i nagradzana – dotyczy to także publikacji internetowych.

Gotowe opowiadanie należy nadesłać na adres: **fantazjekonkurs@gmail.com** w formacie tekstowym (doc, rtf, odt, pdf), w tytule maila wpisując „Konkurs literacki Fantazje Zielonogórskie”. Objętość pracy to maksimum **30 tys. znaków wraz ze spacjami**.

Aby wziąć udział w Konkursie należy spełniać wymagania określone w niniejszym Regulaminie. Prace można nadsyłać do dnia **28 lutego 2026 roku włącznie**.

W treści zgłoszenia należy podać: imię i nazwisko, adres autora oraz krótką notkę biograficzną. Wymagany jest również telefon kontaktowy oraz oświadczenie o posiadaniu kontaktowych oraz oświadczenie o posiadaniu autorskich praw majątkowych do pracy, o treści: „Oświadczam, iż nadesłana praca jest wynikiem wyłącznie mojej indywidualnej twórczości, nie stanowi plagiatu prac innych autorów”.

Każdy z uczestników Konkursu może nadesłać wyłącznie jedną pracę.

Oceny nadesłanych prac dokona jury powołane przez Organizatora.

Wyróżnione prace, po wyborze dokonanym przez jury Konkursu, ukażą się w postaci publikacji książkowej (jako zbiór opowiadań).

Decyzje Jury Konkursu są ostateczne.

Lista laureatów, których prace zostaną umieszczone w publikacji zostanie ogłoszona na stronie www.fantazje.adastra.zgora.pl najpóźniej do końca **czerwca 2026 roku**.

Z chwilą ogłoszenia zwycięzców konkursu przez Organizatora, Organizator nabywa **licencję niewyłączną** upoważniającą Organizatora do nieodpłatnego korzystania z majątkowych praw autorskich do wyróżnionych prac konkursowych na następujących polach eksploatacji:

- umieszczenia w antologii zwycięskich tekstów;
- przedruku fragmentów lub całości w wydawnictwach klubowych, stronach WWW i mediach społecznościowych na profilach Organizatora,
- na potrzeby promocji konkursu i antologii w prasie, radiu, telewizji, internecie oraz na nośnikach outdoorowych,
- do produkcji słuchowisk radiowych, audiobooków, scenariuszy, filmów, prac graficznych oraz komiksów.

Wszyscy laureaci otrzymają po jednym egzemplarzu autorskim antologii.

Zwycięzca Konkursu otrzyma nagrodę pieniężną w wysokości **1500 zł** oraz okolicznościową statuetkę **Zielonogórskiej Wiedzy**.

O wygranej laureaci zostaną poinformowani drogą elektroniczną.

Nagroda Główna zostanie wręczona w trakcie połączonej imprezy: Bachanaliów Fantastycznych oraz Polconu 2026 w Zielonej Górze, jeśli takowa impreza się odbędzie, a w przypadku jej braku lub nieobecności zwy-

cięzcy na konwencie, nagroda zostanie przekazana za pośrednictwem poczty lub innego przewoźnika, pod adres podany w zgłoszeniu konkursowym.

Przyznana nagroda nie podlega wymianie na inną lub jakikolwiek ekwiwalent.

Administratorem danych osobowych uczestnika konkursu w rozumieniu przepisów rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2016/679 z dnia 27 kwietnia 2016 r. w sprawie ochrony osób fizycznych w związku z przetwarzaniem danych osobowych i w sprawie swobodnego przepływu takich danych oraz uchylenia dyrektywy 95/46/WE (ogólne rozporządzenie o ochronie danych) dalej „RODO”, jest Zielonogórski Klub Fantastyki Ad Astra z siedzibą w Zielonej Górze, przy ul. Fabrycznej 13B.

Z administratorem danych osobowych uczestnika konkursu można skontaktować się pod adresem email: **fantazjekonkurs@gmail.com** lub też osobiście/listownie w siedzibie ZKF Ad Astra.

Dane osobowe osoby biorącej udział w konkursie będą przetwarzane w celu przeprowadzenia i promocji konkursu literackiego Fantazje Zielonogórskie. Opublikowanie nazwiska uczestnika konkursu w przypadku otrzymania nagrody lub wyróżnienia w konkursie. Podstawą prawną przetwarzania danych osobowych w tej sytuacji jest udzielona zgoda (art.6 ust. 1 lit. a RODO); w celu ustalenia lub dochodzenia ewentualnych roszczeń lub obrony przed takimi roszczeniami przez Administratora – podstawą prawną przetwarzania danych jest prawnie uzasadniony interes Administratora (art.6 ust.1 lit. F RODO)

Dane osobowe uczestnika konkursu nie będą udostępniane podmiotom trzecim.

Organizator zastrzega sobie prawo zmiany niniejszego Regulaminu.

Miejska Biblioteka Publiczna w Turku zaprasza do udziału w:

XXV Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Włodzimierza Pietrzaka

- przygotuj 3 wiersze (nigdy wcześniej niepublikowane)
- dostarcz je do naszej biblioteki w terminie do 7 listopada 2025 r.
- możesz zrobić to osobiście lub za pośrednictwem poczty tradycyjnej
- na zwycięzców czekają nagrody pieniężne

Adres do regulaminu Konkursu:
<https://biblioteka.turek.net.pl/zaproszenie-do-swiate-poezji-rusza-xxv-ogolnopol-ski-konkurs-poetycki-im-wlodzimierza-pietrzaka/#more-10125>



Andrzej Walter

Polska to znaczy nigdzie

Moja Polska to kraina Nigdzie. Niegdyś, z dość odległej perspektywy historycznej ponoć mlekiem i miodem płynąca, ma dziś jak wszystkie wyjątkowe krainy swoje natarczywe wady i przywary, a właśnie dziś Jej rzeczywistość coraz dotkliwiej skrzeczy i przemienia się z wolna w kabaretowy skecz, w którym główne role grają wydawałoby się mądrzy i wykształceni ludzie, ale swoimi czynami i słowami roztrwają te złudne wizjerunki, przekształcając swoje osoby w jakby sieciowe memy, które krążą potem wśród mas i gawiedzi stając się realnym pośmiewiskiem. Ktoś zawoła, a kiedyż to owa kraina mlekiem i miodem stała? Ano stała, stała, od mórz do mórz, potęgą tolerancji i wolności, postrach Europy i świata ówczesnego, ale ponoć to jednak tylko zamierzchła historia, której nie chcą znać ani Niemcy, ani Francuzi o Brytyjczykach czy Rosjanach nie wspominając. No cóż, nie każdy może być piękny, nie każdy zdobył wiedzę, nie każdy może być królem. Wróćmy do Polski – krainy Nigdzie.

Nasze dwa plemiona rosną w siłę. Okopują się, utwardzają, ugruntowują swoje punkty widzenia, zamrażają punkty siedzenia, kultuwują inne wydarzenia, rozważają inne scenariusze, mają odmienne zasoby informacji oraz ich interpretacji, właściwie mówią już innymi językami, używając innych idiomów, skrótów myślowych, fraz językowych. Myślą innymi obrazkami, innymi wizjami oraz inną rzeczywistością, a że jest ona wytworzona przez propagandę tym gorzej dla propagandy. Nasza wiara ponad wszystko. Wiara w imponderabilia. W konstrukcje hasłowe i emocjonalne, w ułudy i utopie oraz krzywe zwierciadło naciąganych faktów. Dwa plemiona jakby nie było polskie, pod jedną banderą, z tym samym proporcem, z takim samym uzbrojeniem stają naprzeciw siebie na co dzień, w domach, rodzinach, w pracy i od święta. I warczą, szczerzą kły, pomrukują, spozierają wrogo i nienawistnie. Argumenty już dawno pogrzebano, dialog przeszedł do lamusa. Teraz jest wojna. Czas konfrontacji. To chore. Wszyscy wrogowie zacieraają ręce.

Jednak żadna refleksja nie dotrze do zabetonowanych odmiennymi wizjami głów. Nie wygrał ten, co miał wygrać nawet nic nie robiąc. Suweren znów okazał się głupszy i bardziej prostolinijny od elit wszelakich (nawet tych samozwańczych), jest gorzej wykształcony i z mniejszych ośrodków, jest Januszem i Grażynką (przepraszam nieszczęśników o takich imionach) na wczasach nad Bałtykiem, w białych skarpetkach i czarnych kłapeczkach, z brzuszkami i wąsami, jednym słowem klasyczny złośliwy stereotyp z generalizacją postaw i wizerunków. I jeszcze do tego odgrodzony parawanem, ksenofob, klaustrofob, homofob i fob jakich mało, wsteczny jak *liberum veto* i swawola Sarmaty. Mój Boże, jakież to

obrzydlivy typ ze swym nieszczęsnym prawem głosu niszczy naszą uświęconą demokrację! Tragedia. Druga strona ma z kolei inną narrację. Tam się mówi o pełnym pogardy dorobku w domu pełnym złotych kłamek i pretensjonalnym stylu, pełnym kompleksów wobec Zachodu, zaczarowanym pustymi lewackimi hasłami i lękiem płonącej planety, zafiksowanym na temat prześladowania płci oraz tęczowej rewolucji, zoologicznie wypierającym kościoły i religie jako opium dla mas. Ten wykształcony półimbecyl rości sobie prawo bycia kimś lepszym od Janusza i Grażynki i odgradza się od nich unicestwieniem empatii oraz realnym płótem enklawy prywatnych osiedli nowoczesnych apartamentowców z podziemnym parkingiem i własnym miejscem parkingowym.

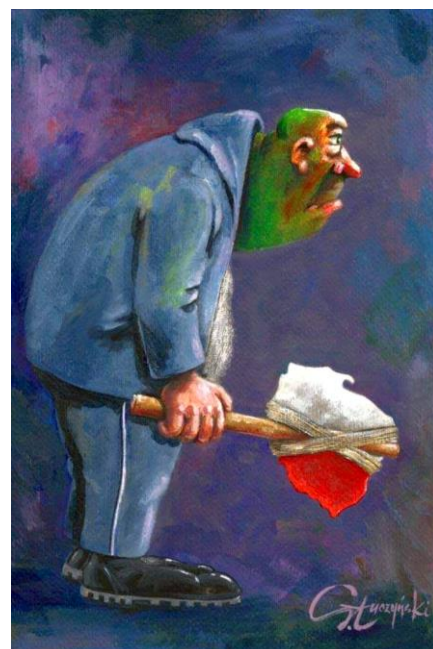
Żyjemy dziś w takiej właśnie karykaturze wizji i postaw. W takich skojarzeniach światopoglądowych. Zgeneralizowanych i rozpoznawanych przez... no właśnie, przez Kogo? Przez media i sieć. Naprawdę ich wpływ, ich kreacja tych postaw i wizerunków zatrzaśa i każe zapytać co dalej?

I nikt na to pytanie nie odpowie.

Pozostaniemy z nim jeszcze długo, długo. Smutne to wszystko i przerażające. Zwłaszcza w kontekście wydarzeń za naszymi granicami, ale i już w naszych granicach, a wkrótce może i w każdej polskiej wsi i w każdym polskim mieście. Zobaczymy hordy dziwnych panów o ciemniejszej karnacji skóry, które w zorganizowanych już grupach sterroryzują nawet lokalnych watażków i ich akolitów. Nie wspomnę o tym, że pan na Kremlu też zaciera ręce i z pasją obserwuje podpalanie Polski przez pożytecznych mu idiotów. Każde bowiem działanie wymierzone publicznie jako „brat w brata” jest na rękę rosyjskiemu Dyktatorowi, bo osłabia jedność narodową naszego kraju i siłą rzeczy osłabia naszą zdolność do obrony: granic, wartości, stylu bycia i życia, a nawet całej koncepcji Polski, nie jako krainy Nigdzie, ale raczej jako kraju ważnego i poważnego. Czy to jest w ogóle możliwe? Byśmy byli ważni i poważni, a nie krainą Króla Ubu? Może już nie zasługujemy. Może ta wojenka unicestwiła w nas poczucie zdrowego rozsądku? Cel pozostał jeden. Zabić przeciwnika. Mamy wakacje. Czas relaksu i dystansu. Może zatem warto się nad tymi refleksjami nieco pochylić i raz jeszcze je przemysleć jako bezsensowną polsko-polską wojenkę i jej nieuchronne konsekwencje. Jako utratę zdolności samodzielnego i racjonalnego myślenia, jako wejścia w pozycję przemądrzałego trolla pouczającego innych co mają jeść, jak żyć i jak... wybierać.

Życie to ciągły wybór. Musisz wybierać. Czy jeśli ktoś Ci powie, że Kowalski to: alfons, gangster i kibol, to to faktycznie jest alfons, gangster i kibol. Czy jak Ci ktoś powie, że

Nowak to: łapówkarz, marionetka i ćpun to to faktycznie jest łapówkarz, marionetka i ćpun. Może warto to wszystko rzetelnie sprawdzić, a nie polegać na tych fenomenalnych narracjach światłych i mądrych piewców tych kolumnii. Tylko dlatego, że „im się wierzy” bo to tacy wielcy dziennikarze czy celebryci są, albo inni znani z tego, że są znani. Nadszedł, jak już wiele razy tu pisałem, czas pogardy. Okropny, żenujący, powszechny – czas pogardy. Pogarda stała się zasadą, opisem świata, metodą działania i dochodzenia do własnych celów samorealizacji. Ja imperator, a inni to piekło. Pogarda wkradła się w przestrzeń publiczną i hasa aż miło. A my wszyscy temu ulegamy, przerzucamy się obelgami, planktonami, pojęciami rodem z szamba. Właściwie dziś wszyscy już chyba cuchniemy tym szambem jeśli pozwalamy się w nie wciągnąć uzurpując sobie prawo do... „posiadania poglądów”. W świecie, w którym całokształt działań medium jako zasady jest wzbudzanie emocji i przeliczanie zysków, posiadania poglądów to wielki luksus. Stać na niego ludzi, którzy mają wiele, wiele czasu, ale i wykonują ogromną dziennikarską pracę dociekając, porównując i poszukując w tej gigantycznej sieci śmietnika informacji. Tak to dziś wygląda i ów brak pokory to krok pierwszy do... poglądów i pogardy. Smutny mechanizm cyberspołeczeństwa... *Eta straszno i śmieszno* – jak mawiał Jacek Kuroń. Jacek Kuroń? A któż zacz? Walter znów odgrzebuje dinozaury. Może warto zająć się taką mitologią i (no ba) archeologią, bo kiedy rozum śpi budzą się demony. A demonów dziś mamy już aż nadto.



Rys. Sławomir Łuczyński

Anna Andrych

53. Warszawska Jesień Poezji

Czy literaci jesiennieją?

W dniach 10-12 października 2025 roku odbyła się 53. Warszawska Jesień Poezji. Uczestnicząc w Jesieniach, z przerwami, od 1997 roku. Przewinęło się w tym czasie w Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu wiele postaci dużego formatu, ale też i poetów, którzy dziergają swoje wiersze według tych samych od lat wzorów, nie rzucając się w oczy. Z jednymi i drugimi warto rozmawiać, jedni i drudzy wnoszą coś do mojej wrażliwości, przemyśleń, doświadczeń, czasem potrzebny dystans. Cenię sobie miłe i serdeczne powitania, pożegnania. Wielu już odeszło na drugą stronę metafor, wymienić ich wszystkich nie sposób.

Trwa przy sterze Związku Literatów Polskich Marek Wawrzekiewicz, na przekór zdrowotnym kłopotom, z których zdaje się właśnie wyswobadzać. Malkontentem powiem, że pozostaje przy zdrowych zmysłach, można poznać doświadczenia, pamięci i intelektu.

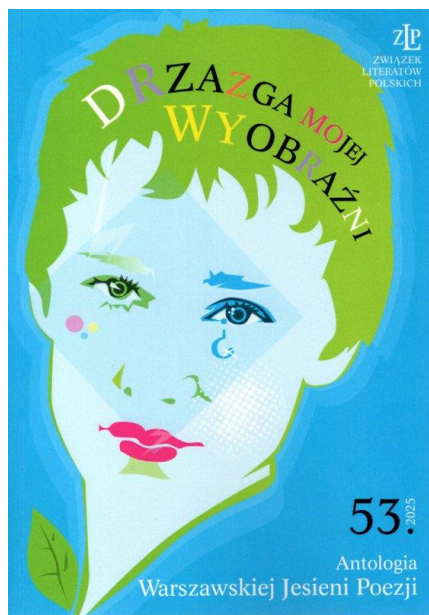
I tu wspomnę Piotra Kuncewicza, którego dane mi było kiedyś poznać. Kuncewicz na Uniwersytecie Warszawskim otrzymał doktorat (1961) zdobyty dzięki rozprawce o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, po czym został zatrudniony w Instytucie Badań Literackich. Jego twórczość, jak wiadomo, była bogata, a biogram obszernych wymiarów; znacząco zapisał się między innymi z Andrzejem K. Waśkiewiczem dla Orientacji Poetyckiej Hybrydy. Niektórzy zauważali, że to czytany Sarmata na etacie i bon vivant. To zabawne – zapamiętałam jego buty, z czerwonymi czubkami.

Motywy przewodnim 53. Warszawskiej Jesieni Poezji była 90. rocznica urodzin Haliny Poświatowskiej, a odbyła się pod hasłem „Drzazga mojej wyobraźni czasem zapala się od słowa”. Jednak pozwolę sobie przypomnieć, że również wspomniana wyżej Maria Pawlikowska-Jasnorzewska jest wybraną przez Senat Rzeczypospolitej Polskiej Patronką Roku 2025 (80. rocznica śmierci poetki).

Realizacja programu tego festiwalu była poetycka do szpiku słowa i dźwięku muzyki. Dał się też zauważyć gremialny udział młodzieży szkolnej w „Performatywnym czytaniu” wierszy Poświatowskiej, zachłannie, z przekazem czytelnym dla słuchaczy – w „Dniu warszawskiej młodej poezji”. Moderatorzy: Jerzy Jankowski i Grzegorz Trochimczuk. Miały też miejsce warsztaty młodych poetów, z wykorzystaniem „Gazety Młodych”; prowadzenie: Marta Pelinko i Zbigniew Milewski. Gala laureatów Nagrody im. Juliusza Słowackiego – Krystyny Koneckiej oraz Nagrody im. Jarosława Iwaszkiewicza – Andrzeja Żora od-

była się w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza – nie dojechał drugi laureat tej Nagrody Bohdan Wrocławski. Krystyna Konecka otrzymała Nagrodę za całokształt twórczości literackiej, a w szczególności konsekwencję w dbałości o klasyczną formę współczesnego wiersza. Andrzej Żor – za realizm w uprawianiu prozie. Bohdan Wrocławski – za zasługi w dziedzinie promocji i upowszechniania polskiej literatury współczesnej, w szczególności związanej z prowadzonym i kierowanym przez laureata e-Dwutygodnikiem Literacko-Artystycznym Pisarze.pl oraz wydawaniem antologii poezji.

„Młody Słowacki” (do 35. roku życia – Nagrodę przyznano Aleksandrze Dańczyszyn za tom „Tuż obok”, ciekawą formę, nowatorską wypowiedź i własny język narracyjno-poetycki. Medal „Zasłużony dla kultury polskiej” otrzymali: Barbara Rustecka i Vladan Stamenković; Medale Gloria Artis wręczono: Stefanowi Jurkowskiemu, Annie Pituch-Noworolskiej, Renie Marciniak-Kosmowskiej, Marlenie Zynger i Kazimierzowi Kochańskiemu.



Duże wrażenie i poruszenie, bez przesady w takim określeniu, uczynił koncert pt. „nie zapomnisz skał” Anety Chruścińskiej – wokalistki i Jerzego Chruścińskiego – fortepianisty (m.in. Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza w Zakopanem), z poezją także Haliny Poświatowskiej. Warto zapamiętać, nawet szepnęłam do Kaliny Zioly, że może kiedyś udałoby się zaprosić ich do Poznania na Międzynarodowy Listopad Poetycki.

„Rozgryzanie wierszy” – 53. Antologia drzazga mojej wyobraźni czasem zapala się od słowa w interpretacji Gośki Bańki – fortepian i wokalistki – także zachwyciła publiczność.

Prawdziwą uczcą była dla mnie sesja pt. „Żeromski a Skamandryci”: namaszczenie przez Żeromskiego poetów grupy Skamander na przyszłość polskiej literatury. Prowadzenie – Marek Wawrzekiewicz, recytacja – Andrzej Ferenc. Duet znakomity, wyborne wybrane fragmenty. Opowieść o Żeromskim przede wszystkim.

Krzysztof Gosztyła, Olga Miłaszewska, Andrzej Ferenc. To nazwiska znaczących aktorów, również poprzez nie po raz pierwszy, czynny udział recytatorski w Warszawskiej Jesieni Poezji. Dwoje pierwszych wymienionych zaprezentowało „Molekuły wrażliwości” – wiersze osób nagrodzonych w konkursie „Puls Słowa” dla lekarzy z Unii Polskich Pisarzy Lekarzy. Oprawa muzyczna w formie recitalu na dwie gitary zasłużyła na gromkim brawa: Mateusz Murawski i Michał Trzpiot.

Uczestniczyłam w każdej odsłonie tegorocznej WJP. Niewiele było czasu wolnego, ale... kilka osób pozwoliło sobie na luz, zjawiając się dopiero na obiad. Podziwiałam Teodozję Zariwną, która wręcz chłoneła wszystko, co działo się na scenie w auli Domu Literatury, w Klubie Księgarza oraz Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza na Starym Rynku.

Poznański Oddział ZLP zaznaczył swoją obecność w trzech osobach: Maria Dusza, Kalina Izabela Ziola i ja. Obie koleżanki wzięły udział w promocji najnowszego numeru kwartalnika literackiego LiryDram – ich twarze w graficznym opracowaniu można podziwiać na okładkach czasopisma. Spotkanie prowadziła i rozmawiała z poetkami redaktorka naczelna Marlena Zynger.

„Noc poetycka” w Klubie Księgarza na Starym Rynku w Warszawie obudziła wspomnienia z tego niezwykłego, klimatycznego miejsca spotkań, koncertów, prezentacji wierszy – również i ja brałam udział...

Gośćmi specjalnymi 53. WJP byli poeci: z Chorwacji – Valerio Orlić; Serbii – Miloš Janković; Słowacji – Radovan Brenkus; Izraela – Amir Or; Ukrainy – Teodozja Zariwna. Nie przybył poeta z Palestyny. Prowadzenie spotkania w Klubie Księgarza: Zbigniew Milewski – wiceprezes Zarządu Głównego ZLP, Marlena Zynger – członek Zarządu Warszawskiego Oddziału ZLP. Bardzo interesująca w zawartości i formie była ta „Noc”. Niebanalną oprawę muzyczno-wokalną zapewnili: Joanna Babiarz i Janusz Szot.

(Dokończenie na stronie 13)

Adam Lizakowski

Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?

(4)



Fot. Andrzej Dębowski

Oni nie chcieli zaakceptować „ani poglądów, ani kultury starych”, nie chcieli żyć zgodnie z ideałami klasy średniej swoich rodziców, którzy skupili się, nawet mieli obsesję na punkcie pracy w celu powiększania majątków. Oni chcieli być inni i odwrócili się plecami do materializmu, oczywiście nie wszyscy, nie wszystkim się udało, ale tym, co się udało osiągnąć sukces przede wszystkim na polu kultury, nie tylko nie odrzucili materializmu, ale go pokochali, przykładem niech będą członkowie zespołów idoli hippisów. Oni do pomnażania swoich majątków zatrudniali fachowców, inwestujących za nich w nieruchomości, sztukę, malarstwo współczesne, antyki, turystykę, usługi takie jak restauracje, hotele, w rolnictwo, hodowle zwierząt, chociaż wielu z nich oficjalnie uważano za wegetarianów etc. Poznali smak pieniądza i jego siłę. Ci, co mieli szczęście, do dzisiaj żyją z odsetek z hippisowskiej ery.

Muzyka, tysiące anonimowych muzyków oraz setki zespołów zajmą bardzo dużo uwagi w tej pracy, bo muzyka była wszechobecna, zbuntowani młodzi używali różnych kanałów społecznych, aby przekazać swój protest poprzez ubiór, literaturę, sztuki plastyczne, nowe formy artystyczne, takie jak happening lub performance. Oślawione festiwale muzyczne stały się wcześniej czy później źródłami dochodu, jak choćby Woodstock Music and Art, odbywający się w dniach od 15 do 18 sierpnia 1969 roku, który nie przyniósł zysku od razu, bo wstęp był bezpłatny, ale do dzisiaj organizatorzy zarabiają tysiące dolarów na prawach autorskich do muzyki i filmów, które w czasie festiwalu powstały.

Era lub „długa dekada” ludzi młodych

Miłosz, Europejczyk, popadł w chaos amerykański, który próbował zrozumieć po-

przez XIX-wieczną Rosję. Przyczyną chaosu byli młodzi, którzy chcieli wziąć odpowiedzialność za państwo i swoje życie oraz przyszłość Ameryki. Wbrew swoim rodzicom, nauczycielom oraz władzy, wyjdą na ulice szukać zrozumienia poprzez muzykę, poezję i filozofię Dalekiego Wschodu. Narodzi się subkultura hippisowska, półnędzy studenci będą chodzić boso na zajęcia, zaczną się rozruchy murzyńskiej ludności, ale oglądane to wszystko przez poetę z boku. To, że młodzi chcieli grać na gitarach i owijali swoje ciała w białe i pomarańczowe prześcieradła, wzięli brudne, tłuste, długie włosy kolorowymi wstążkami, pisali wiersze, to nie było przyczyną rozłamu na dwie Ameryki. Jedną z wielu przyczyn podziału Ameryki lat sześćdziesiątych był tzw. złoty cieciec, od którego młodzi-brodaci chcieli uciec jak najdalej. Inną przyczyną rozłamu było to, że bogaci rodzice utrzymywali finansowo „dzieciaka hippisa”. Urodzeni przed wojną w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego chcieli, aby ich dzieci miały lepiej niż oni. I chyba miały, nastał boom gospodarczy, Ameryka bogaciła się, dzieci mogły za pieniądze rodziców kupić sobie gitary i marihuanę, kolorowe szklane koraliki na szyję i ręce, powiedzieć im prosto w oczy: kochana mamó i tato nie chcemy iść do szkoły, by później do końca życia uczestniczyć w wysiłku szczerów. Palec środkowy w górę i krótkie pojedyncze zdanie: *Just fuck off and leave me alone America!!!* Czy do tego aragońskiego wręcz wulgarnego stwierdzenia był potrzebny Lew Szeztow, William Blake oraz Emanuel Swedenborg??? Aby zrozumieć Miłosza: tak, jak najbardziej.

Bardzo „długa dekada” trwała do połowy lat 70. W tym okresie, poza karierą w armii czy sporcie, zostają otwarte jeszcze jedno, trzecie drzwi do szybkiej sławy i pieniędzy – kultura masowa. Miłosz zrozumiał to i nawet walczył z subkulturą, nazywając ją „wzgardliwą rebelią beatników”, a później ulubione miejsce hippisów znajdujące się na skrzyżowaniu ulic Hight and Ashbury określił *hippielandem*². Był jednak kontent, że poezja staje się bardzo popularna jak nigdy wcześniej, muzyka też, że otwierają się drzwi dla ludzi utalentowanych, piszących i grających na instrumentach, a Ameryka, jak napisał w tym samym eseju „dzisiaj zmienia się zapewne w najbardziej poetycki i artystyczny kraj na świecie”. Płyty sprzedawały się w setkach tysięcy nakładów, również poezja i literatura dobrze sobie radziły, powstawało wiele księgarni i wydawnictw hippisowskich.

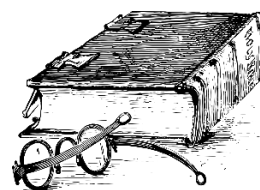
Tradycjoniści i konserwatyści, którzy występują przeciw krzykliwym studentom domagającym się wielu rzeczy naraz, nie robią na poecie większego wrażenia, on wie, czym to wszystko może się skończyć, przynajmniej tak mu się wydaje. Z miesiąca na miesiąc staje się bardziej krytyczny, konserwatywny, dopatruje się w poczynaniach młodych zmierzchu amerykańskiego imperium, podziału Ameryki. Nie przemawia do niego ani poezja, ani muzyka, ballady napisane przez Boba Dylana, które stają się protest songami młodzieży, hymnami pokolenia, jemu się nie podobają. Porównuje je i szuka

odnośników we francuskiej poezji XIX-wiecznej. Takie utwory jak: *Blowin in the wind*, *The Times They are a-Changin*, *Visions of Johanna* czy *A Hard Rams A-Gonna Fali*, nie robią na nim większego wrażenia. Co o nich tak naprawdę myślał, tego nie wiemy. Wiemy natomiast, co napisał w jednym z listów do poety, dziennikarza z Krakowa, Marka Skwarnickiego. „Piosenka amerykańska jest straszna¹, rozzdzierająca. Kiedy pierwszy raz posłyszałem Boba Dylana, powiedziałem: Baudleaire 'Les fleurs du mai'. Właściwie skrzyżowanie Baudleaire'a z Proustem. A niedawno jeden z krytyków napisał, że od czasów Marksa nie było tak głębokiej analizy społeczeństwa, jak Bob Dylan”³. Marksa faktycznie Amerykanie uważają przede wszystkim za socjologa, a dopiero później za filozofa. Poeta nie poczuje wspólnoty z tymi młodymi „oberwańcami”, ich owoc dokonań na polu kultury i polityki nie będzie jego owocem, on nie chce dzielić się z nimi odpowiedzialnością ani naprawiać skutków chaosu panującego w społeczeństwie. Świat młodych to świat dynamiczny, zmieniający się na wielu płaszczyznach, również na uznawanych już płaszczyznach wartości, które w oczach młodych tracą na znaczeniu z dnia na dzień. Chaos w świecie wartości coraz bardziej w sensie społecznym zmusza do myślenia o odpowiedzialności nie tylko za swój los, własnej rodziny, ale za los ludzi w innych państwach, nawet jeśli nie wiemy, gdzie one są oraz w innych regionach świata. I tutaj raz jeszcze warto jest wrócić do Marksa nie filozofa, a socjologa, bo powstaje przepaść między ubogimi i bogatymi, ujawnia się brak sprawiedliwości społecznej i solidarności nie tylko wewnątrz pokoleniowej, ale solidarności pomiędzy pokoleniami. Czy Miłosz w ten sposób myśli o beat generation, trudno jest jednoznacznie odpowiedzieć, jest czuły na niesprawiedliwość społeczną, jest za tym, aby wyrównać szanse i zapewnić dostęp do edukacji i nawet wspólnych dóbr, ale aby takim być, trzeba być stronnikiem, a on takim nie jest. Jest za tym, aby tak ukształtować człowieka, żeby był zdolny do kontroli nad swoimi nadmiernymi potrzebami, aby myślenie nie było tylko nawykiem, mówić o tym w wielu wywiadach, ale też przyznaje, że zachłanność i chciwość nie są mu obce. Dlatego ciekawe byłoby dla nas – wiernych czytelników Miłosza – jakby zareagował na Literacką Nagrodę Nobla przyznaną Dylanowi, gdyby ten otrzymał ją jeszcze za życia poety. Trudno jest dzisiaj wyobrazić sobie jego reakcję, czy słuchając Dylana myślałby o poezji francuskiej.

² Cz. Miłosz, *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, Kraków 1989, s. 109.

³ M. Skwarnicki, *Mój Miłosz*, Kraków 2004, s. 111.

cdn.



Andrzej Tchórzewski

1937-2025

Sam

Opuszczony przez kochanki
Władców Rano pod murem
Kędy święty wchodził
A dziś reklama rozczapiera palce

Patrzenie Upadłem Bądźcie pobłażliwi
Matki się wyrzekłem
Córke ma śliczną Córke porzuciłem
By wejść Rozmawiać z poetami Z ludźmi
i opuszczony przez wiatr I przez gaje
Przez taorminę Skałę Pincio Wódę Piwo44
Ważyc ten ciężar najbardziej dotkliwy

Zniewaga Honor Horror i kopniak w jąkałę

Nie ma języka ni metajęzyka
Który by moją głupotę wyraził
Przemoc Wit stwórz przemocy Anioł
zapomnienia
Średni bez brzucha Jeszcze przed
czterdziestką
przed setką Która zawsze napawa nas
drżeniem
Medialny Mocny Niby sam chrystus
Ja Nieudolny wielbiciel dylana
Wróg śmierci i przemocy pod każdą postacią
Któremu ziemia odebrała braci
Teatr w udnie Ten jedyny teatr
wysysając w siebie
Jeszcze popiołem lży mi osoliła
Płuca rozmyła ale jednak żyję
Godzina zero Ora zero teatro

Nie wierzę w boga i wierność kochanek
W trwałość agentur Moralnośćmacherów
I w święto dyni nie wierzę Nie wierzę

Tylko w to jedno Że ciągle na świecie
Rządzi godzina zero Prapoczątek
Czulszy niż sejsmografu na wieść o trzęsieniu
Upiłem się dokładnie Zasnąłem pod murem
Bo śmierć niszczy wrażliwość Rozbudza
wrażliwość
Olśniewa nas na zawsze majestatem życia

Tyłu już pogrzebałem A sam ciągle żyję
I żyjąc zapominam Łykam własny wstyd
Ale wierzę niezłomnie
Autostradą słońca ominę udine
Roztrzaskam się i kiedyś wydobędę wiarę
Spod kół Hamulców Blachy

Rozdziela

Mia roba é questa
Vivere o batterme
Con sgridata vita

Maj, 1976
(Baranów Sandomierski, Kraków)

W takt legendy

Ludzie
Którzy wybiegli z porzuconych plaż
Stali się korzeniami Znają nieskończoność
Nasz świat jest zamknięty oliwą Smarami
Parą rybackich butów Przeżartych przez sól
Ale piękna w nim tyle Ile sulfamidów
A przyjdź sulamitko
Zaczyna się fogo morza
Wiatr przynosi tańce
Fala ruch kibici
I zaraz ten wulgaryzm do szpiku prawdziwy
Chciałbym cię zerznąć
O okrucieństwo duszy wolnej od podatków
Szwedzi w tyrreńskim morzu moczą białe
nogi

Żółkną im żyły Stają się niebieskie
I już mają sztandary
A tu przyjechali chłód sprzedawać
Zamieniać obojętność w ciepło
Pracę w zasłużone lenistwo
Błękit wciąż nieobecny
Jeże cuchną ropą
Dzieci Odwieczna radość
A najtańszy kawior
Smakuje americamente
Guma Pańska skórka

Kto wspomina tyrreny Pana Prokonsulów
Codziennie 8 statków na ischię i capri

Hotele w grotach Czeki podrózne na oczach
Aż dziw że się morze nie zaniosło deszczem

Nam gorzej niż byronom

Pomyślcie coś ludzie
Byśmy tu mogli przybywać bez wstępu

By zawsze delikatne wiatry niepewności
Wiodły nas jak odyssa przez morze tyrreńskie

A będzie czym oddychać
i zgiełku nie zabraknie
Zgiełku alg Szumu skrzydeł
Chórów ryb i kultur

1974-1975

Gianicolo

M.T.

Oto jest giostra
i teatr kukiełek
Giostra się zaraz
zmieni w karuzelę

Bo radość dzieci
rozkręca jednakowo

Pinochio
Gdzie

Krzyk i palce w ruch
Głuchnie stolarz
Za chwilę zapadnie
kurtyna

A później przed kurtyną

wyjdzie colombina
i pierrot gdzieś wyrośnie
błady niby powój
głośno marzyć zacnie
jakby damę powiodł
na dwór

Tam jej gwardie hiszpańskie
salutować będą
Gdy tylko się uśmiechnie
szpady wydobędą
Gdy tylko lżę uрони
o lżę będą bić się

Osobiście wolę misie
Mówi mała
Taki skwar
Aż pękają cienie palm
a

m
i
s
i
e
chodzą
w przybrudzonych skórkach

Dlatego misiów fotografują
Bo nie chcą myć się

Poliszynel dużo traci
Aktorzy zbierają datki
Poliszynel lubi żyć
A aktorzy będą tyć
Bo nie nałykają się forsy

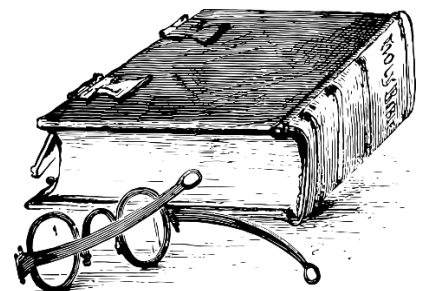
Osły Osły
na paradę
na przyjemność
passegiatę

Przez lunetę widać ogrody papieskie
Planety oddalone No i gwiazdy ziemskie
z via argentina

Niejedna taka marzy o fiacie

By się pokazać na gianicolo
Gdzie
zawszą słysząc melodię
Paście się Paście
konie drewniane
Naszej radości
znaki widzialne

1974-1975



Margarita Jaworska

Matka pustki

Noszę w sobie ślad czegoś,
co nigdy nie nadeszło.
Jestem matką pustki,
którą karmię – moim sercem,
aż staje się cięższa niż ciało.

To, co dano przeżyć,
jest zbyt kruche,
by unieść wieczność.
Dlatego tęsknię
nie za tym, co istnieje,
lecz za wszystkim,
co miało nadejść,
a zatrzymało się w progu,
jakby bało się
postawić ostatni krok.

Każdy dzień to skorupa,
którą rozbijam,
szukając źródła, nieobecnego
Każdy oddech jest mantrą
wypowiadaną do ciszy,
która nie odpowiada.
Być może
całe moje istnienie
jest zwykłą tęsknotą –
kruchością, która śpiewa
na granicy ognia i popiołu.
Bo nie mam innego głosu,
poza tym, który drży w ciemności,
jakby chciał przypomnieć księżycowi,
że wciąż jestem.

I choć wiem,
że prawda jest okrutna:
obietnice nie zostaną wypełnione,
minione dni i noce nie powrócą,
a poszukiwane światło
nie stanie się moje.
Idę dalej,
niosąc w piersi
świadomość nietrwałości,
jak ostatni płomień nadziei,
który potrafi spalić lzy,
by uczynić z nich
wieczność, z której pochodzę.

Tu osiecka

Zatrzymałam się tu,
między niebem a ziemią,
bo nie zdążyłam wypić do końca
tego kieliszka, którym było życie.

Pisałam, śpiewałam,
uciekałam w słowa,
ale każde było tylko półprawdą.
Za każdym rymem
kryła się twarz,
której nigdy nie odważyłam się nazwać.

Niebo mnie nie przyjęło,
ziemia dawno odrzuciła.
A ja błąkam się
jak piosenka bez refrenu,
która zatrzymała się
na kluczowej frazie.

To nie miłość mnie więzi,
choć jej miałam w nadmiarze.
To wina, że zostawiłam po sobie
za dużo niedopowiedzeń,
za dużo serc nieodkrytych
jak listy, których nigdy nie wysłałam.

Moje słowa tańczą nadal.
„Niech żyje bal” – śpiewają Ci żywi,
a ja stoję tutaj – bez głosu, bez ciała,
mam ciężar, którego nie zdążyłam odłożyć.

Nie pytaj mnie o wybawienie.
Nie pytaj o sen.
Jestem tą, co utknęła pomiędzy,
jak hit w radiu,
który nagle ucicha.

I jeśli jeszcze istnieje pieśń dla mnie,
to będzie to lament
o duszy,
która nie potrafiła przebaczyć
ani sobie, ani innym.



Rys. Barbara Medajska

Ścieżka w starym lesie

Namalowałam cię –
nie tak, jak wyglądasz,
lecz tak, jak brzmisz,
gdy cisza wypowiada twoje imię.

Nie ma tam rąk, ani rysów twarzy,
bo to, co zostało we mnie,
nie potrzebuje konturów.

Zostawiłam miejsce na cień –
nie po to, by cię ukryć,
lecz byś mógł wejść,
gdy świat zbyt głośno mówi: „nie ma”.

Tło nie jest niebem
ani żadnym rajem;
to ścieżka starego lasu,
rozświetlona, jakby ktoś przeszedł przed
chwilą.

Drzewa pochylają się
nie z żalu, lecz z wdzięczności,
a liść, którego nie widać, nie umarł –
wróci inaczej, gdy przyjdzie czas.

Czasem stoję przed płótnem
i pytam: czy to ja stworzyłam obraz,
czy ty stworzyłeś we mnie przestrzeń,
w której mógł powstać?
Bo gdy patrzę – przestaję widzieć.
Staję się częścią niewidocznego.

Nie odszedłeś – tak to czuję.
Po prostu przestałeś być oczywisty.
I choć wciąż idę przez świat,
który nie zdążył cię poznać,
czasem się odwracam:
bo ktoś śmieje się jak ty,
bo szelest brzmi jak twój krok,
bo dusza drży tam, gdzie byłeś.

Może wrócę, ale nie dziś

Nie wołaj mnie z powrotem!
Niech świt przetnie mnie jak ostrze.
Byłam ogniem – zostałam prochem,
duszą w locie, bezgłośnie.

Zbyt długo w waszych ogniach gasłam,
zbyt wiele krzyków ukryłam w dłoni.
Nie widać było moich ran –
niosłam was, nie mając broni.

I teraz – kiedy milczę wiecznie,
niech was nie karmi nadzieja.
To nie sen. To wybór.
To ucieczka duszy od ciała –
co więzi, nie wspiera.

Wiem, że będziecie krzyczeć po kątach,
bo w waszych nocach – ja, rama pusta.
Ale wiedźcie: ja wreszcie oddycham.
Nie w waszym świecie. Tam – za bramą.

Czy jeszcze zdążę... powrócić w wersji
choć trochę bliższej temu, kim być chciałam?
Zanim czas do końca mnie przegnie,
czy zdążę – nie być tylko ciałem?

Może wrócę.
Może w twoim dziecku
zabłysnę jednym ruchem brwi.
Ale już nie dziś. Nie proście...

Bo tylko śmierć, kochanek bez maski,
zabiera mnie całą, nie pytając o sens.
Tylko śmierć mnie rozumie,
Gdy wszyscy inni chcieli mnie mniej.

Andrzej Gnarowski

Spowiedź pod okiem Boga

Oko, którym oglądam Boga, jest tym samym okiem, którym Bóg mnie widzi.

Eckhart

W przypadku ks. Buryły poety zakochałego w słowie – poezja jest nie tylko lekarstwem na samotność, ale też stygmatem napętlonym bólem – spowiedzią przed Bogiem i całym światem. Spowiedź to wynurzenie się, zwierzenie, wyznanie czegoś tajemniczego, wywnętrzanie się i dzielenie z kimś (w prasie przeczytałem takie zdanie o poetach: jak to się stało, że wielu polskich poetów stało się bardziej religijnymi niż w średniowieczu?).

Poezja Wacława Buryły wpisana jest wyłącznie w chrześcijańską religijność i że patrzy na świat przez pryzmat własnej wiary. Prawdziwy mistyk bywa na wskroś pochłonięty tajemnicą wiary – do tego stopnia, że sam się nią staje. Eseista francuski Cioran tak napisał o Bogu: „Jest Bogiem naszych monologów i wewnętrznych dramatów, Bogiem głębokim, w którym znajduje odbicie każdy nasz kryk”.

Jeżeli uznamy poetę ks. Buryłę za sprzedawcę słów – to cena będzie wysoka. Mam na myśli tom wierszy „Zakochany w Miłości” – Wydawnictwo Dobro i Piękno.

W poezji Wacława Buryły wszystko ma swoje drugie tło – jest jeszcze coś innego. Dostrzegamy je w poszukiwaniu, tęsknocie za tym co pierwotne z okresu światów „odczuwalnych”. Dlatego tak cenię w poezji Buryły to zmaganie się z treścią – z amorficznością materii poetyckiej, która „przyobleka” się niekiedy w różne formy. Oddajmy na chwilę głos poecie: „Nie da się być poetą tylko na chwilę. Poezję nosi się w sobie. Ona rodzi się człowieka, w nim dojrzewa. Ona wypienia człowieka po brzegi. Poezja rodzi się w życiu, ale wtedy także życie staje się poezją. Bo jest częścią tej samej miłości, tego samego zachwyty. A ten – jeżeli jest w człowieku – nie gaśnie nigdy”. Ale człowiek współczesny jest taki, jaki wyszedł z zagłębienia historii znaczonej zwycięstwami i klęskami. W wierszu „Co będzie kiedy umrą poeci” czytamy: „co będzie / kiedy umrą poeci / czy nie będzie to początek / końca świata / bo świat mogą uratować / tylko poeci / i dzieci”. Powstaje pytanie: czy poeta jest przygotowany do tego, żeby się zmierzyć ze światem niedostępnym nawet wyobraźni?

Poeta zaprzędany Bogu i poezji, której siłą tkwi w literackiej perfekcji – w zapisie emocji i autentycznych przeżyć. I tu należy będzie cytat z Cendrasy – chodzi o wątki chrystologiczne z dwóch tomów poezji „Wielkanocy i Strefie” (bardzo romantyczny dialog i identyfikacja / Ja-Poeta-Chrystus). Przypomnijmy

„cień Platona, który pokazuje cienie w jaskini i prosi: spójrz w górę...”

Nie zapominajmy, że Platon był uczniem Sokratesa i to uczniem bardzo pilnym.

Zrozumieć człowieka, to starać się pojąć sens jego życia. A może nie obarczajmy jednak poezji zbyt wielką odpowiedzialnością. Wypowiadajmy swoje pokolenie i jego niepowtarzalną właściwość:

*wciąż rodzą się we mnie jakieś nowe światy
wyjęte z marzeń i dziecięcych przeczuć
z naiwnej wiary że ludzie są dobrzy*

(„Stygmaty poezji”)

Poezja jest zadośćuczynieniem dla nie-możliwości zatrzymania czasu. Czas naszego istnienia i istnienia świata nakłada się na czas biologiczny poety – na czas niekiedy okaleczony, a niepokój człowieka jest organiczny „jak sejsmograf ptaka”. Poeta zadaje mnóstwo pytań – gdzie jesteś teraz, w jakim miejscu świata – czy nie rozsiewa to niepokój pod szarym niebem naszego dnia powszedniego, „pytam ludzi dlaczego nie cieszą się życiem / – uwierzyliśmy że jesteśmy mądrzejsi od Boga / i zamiast raju zbudowaliśmy wieżę Babel”.

A więc możliwa jest jedynie w tym zwielokrotnionym świecie własna tożsamość. Starać się nie przestać być sobą – na przekór wszystkiemu w tym świecie, który bywa kłębem okrucieństwa i chaosu.

*nie boję się śmierci – to wchodzenie w Miłość
która się nie kończy nie wysycha w czasie
moja mała wiara przynosi mi spokój
i pewność nadziei bez niej tylko lęki
kryjące się po kątach od początku świata*

(„Nie boję się śmierci”)

*wszystko co stworzone zamienia się w popiół
choć tak bardzo tęskni za czasem bez, czasu
człowiek od zawsze przygląda się drodze*

(„Police 2025”)

Nie będzie w tym nic dziwnego, że zabierając głos w sprawie książki ks. Buryły „Zakochany w Miłości” posłużę się cytatem z Josifa Brodskiego: „Ponieważ nie mamy właściwie w czym upatrywać nadziei na lepszy świat, a wszystko inne tak czy owak nas zawiodło, musimy utrzymywać, że literatura stanowi dla społeczeństwa jedyną formę zabezpieczenia moralnego (...) literatura jest największą – z pewnością większą od wszystkich wyznań – nauczycielką subtelności”. (tekst pochodzi z konferencji Wiedeńskiej z 1987 roku)

Czas, w którym rozwijała się poezja Buryły, niewiele ma wspólnego z czasem kalendarzowym. Kształtowanie świata u poety

odbywa się integralnie wraz kształtowaniem podmiotu i języka. Droga, o której czytamy w wierszu – to pomost pomiędzy życiem a śmiercią, przedłużenie życia czyli sprowadzenie śmierci do natury. Nie bójmy się śmierci (powiada poeta) chociaż nazywamy ją ostatecznym punktem dojścia, jest jak wiemy nieuchronna. Nie rozwikłamy również tajemnicy fenomenalnej wrażliwości na nieskończoną ofertę psychologicznych i sytuacyjnych wariacji zwanych życiem:

*przez zamkowe okno spoglądam na gwiazdy
które tyle tajemnic widziały przez wieki
może uchylą rąbką tajemnicy*

(„Pełną piersią”)

Pewien jestem, że w tych opowiedzianych pojedynczych zdarzeniach (czyli epizodach) nawet oderwanych od siebie – wybranych momentach biograficznych mieści się epos o człowieku. Rzeczywistość jest jakby z innej gliny – rzeczywistość z biegiem czasu to wszystko zaciera. Dlatego intymne zwierzenia są formułą pisarskiego oglądu prawdy, są tak subtelnym wyrzeczeniem się syntezy na rzecz wiwisekcji. Autor to typowy poeta-doctus, budujący swoje wiersze z erudycji, zafascynowania faktami kulturowymi. Powstała bardzo prawdziwa, mądra i bardzo przejmująca książka poetycka. Książka nie do czytania na „dobranoc” – to lektura dla chwil wyjątkowych. Poeta realizuje swój model poezji – i zakłada stałą aktywność intelektualną i moralną – uczestniczy w czasie – jest to model liryki, która „znaczy” wychodzenie od osobistego ku ogólnemu. W naszym niedoskonałym świecie zmieniają się jedynie bohaterowie, epizody, rekwizyty. Niekiedy wiersz kończy się jakby zapisem wyznania jednego z najbardziej osobistego doświadczenia:

*wierzmy w Boga – nie wierzymy Bogu
nie chcemy Golgoty ani Góry Moria
ciągle szukamy Góry Przemienienia
gdzie tak skutecznie zaskakuje Niebo*

(„Szukamy światła gdy przychodzi ciemność”)

Poeta sięga do spraw, które wymykają się spod władzy racjonalnych rachub. Jakże szczęście, że nie gonił za modą nie stał się staromodny – dlatego „nowoczesna” tonacja jego poezji jest wyraziście czytelna. Problem stary jak świat – znaleźć swoje miejsce na ziemi – zatrzymać czas – uwierzyć, że byt jest wieczny, albo starać się nie wierzyć, że pochodzi z niebytu. Ale sięgnijmy do wyobraźni, która jest przecież także oznaczeniem granic tej pięknej i nigdzie nieusprawiedliwionej klęski:

*Jak mówić o Bogu tym
którzy budują nowoczesne autostrady
i samochody*

*(...)
czy oni są jeszcze w stanie uwierzyć że Bóg
jest Miłością*

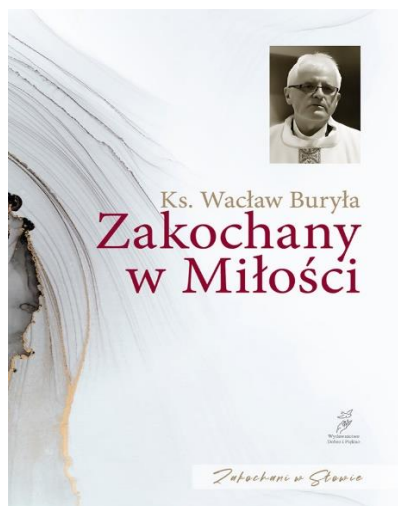
*gdy to słowo jest dla nich
już tylko słowem ze słownika*

(„Jak głosić Ewangelię”)

Poeta nie daje się zwodzić urokami zewnętrznymi współczesnego świata, próbuje zaglądać pod jego szczerze zbitą powierzchnię. Jednocześnie zdaje sobie sprawę, że „świat znaczy więcej niż znaczą słowa”. Religijne nurty, które raz po raz rozbrzmiewają (m.in. ze stanu duchownego poety – 45 lat sakramentu kapłaństwa). Ks. Buryła należy do tego typu twórców, których dzieło w normalnych warunkach pogłębiłoby się i nabrało znacznie większej siły. Nie wiem jakim torem potoczą się losy ks. Wacława poety – ale wiem, że przyjmuje świat z całym jego okrucieństwem i ciągnie swój wózek wbrew całej logice świata. Zapewne poczucie „realności własnej” której celem jest nie tylko przedstawienie prawdziwego obrazu życia – ale ekspresyjne gesty „przedstawiać” jako skondensowaną i ciągle pogłębiającą wyrazistość.

W tym niedoskonałym świecie poezja jest tylko celem antropologicznym i genetycznym (zabezpieczeniem przed wulgarnością ludzkiego serca) poeta jako „świecki święty” zdobywca pozycji czystego ja – jedynego prawdziwego źródła życia, jedynego władcy świata.

Po zamknięciu tomiku pozostaje w nas to jaskrawe widzenie świata przez poetę Wacława Buryłę. Otwierają się znajome miejsca z przeszłości. Trwają podróże we wspomnieniach, migają obrazy...



Andrzej Gnarowski

ks. Wacław Buryła, „Zakochany w Miłości”. Wydawnictwo Dobro i Piękno, Budy Mszczonowskie 2025, s. 200.

Andrzej Gnarowski

Granice jednoznaczności

ks. Wacławowi Buryle – poecie

W muzeum w mieście R. na starych sztychach
Bracia polscy zwani arianami. W otulonym płaszczem
Nocy Rakowie (siedziba arianów) w szachy figurami
Grali. Ledwie widoczne były litery ich dłoni. Świt
Lizał rzekę a źródła rozsadały wąskie pasemka łąk
„Nikt nic nie mówił a przecież krzyczeli wszyscy”
(w roku pańskim 1678 uchwałą sejmu wydaleniu z kraju)

Na placu Jeanne Duval w tajnej okolicy drzewa walczyły
O ostatnie liście matuzalemove cisy i czerwone buki
Wiatr dmuchał jak z „Błaznów” Miguela Zamacoisa
Ulice kreślone były tyłoma liniami. W linii prostej
Był Szpital Psychiatryczny pod wezwaniem św. Wojciecha
Twarze kobiet były pogodne jak ogrody saskie
W oczach mężczyzn było tyle siły obezwładniającej
(grając na fisharmonii ich serca miały inną moc)
Ks. Wacław udzielił ostatniego namaszczenia pacjentowi
Który był szefem protokołu dyplomatycznego ale teraz
Tylko marzył o statkach argonautów płynących w poszukiwaniu
Złotego runa (roślina z rodziny dyniowatych)
Widziałem księdza oczy z rzęsistością rzęs
Słyszałem liturgiczny głos jak z gałązki snu
Nieosiągalny kiedy się modlił w gotyckim kościele
Tak jak Bóg przykazał. Przed oczami miał tylko prezbiterium
A wokół jesień pachniała mgłą. I nic się nie zmieniło
Dzień pozostał pustą tykwą a słowa były jak wyjedzone
Skorupy krabów. Skąd się tam wzięły. Z jakiej strony myśli
Dualizm dwóch światów – gdzie ciało i dusza. Według Sokratesa
Śmierć to oddzielenie ciała od duszy która jest nieśmiertelna
Poeci o miękkie prosili słowo. Jaskółki nisko biegały
Nad ziemią. W ich oczach zatrzymał się mrok:
„wszyscy poeci są tak samo śmiertelni
jak sąsiedzi mieszkający za ścianą”

W Szpitalu Psychiatrycznym śmierć jest szczeliną
Przez którą widać czarną otchłań. Oni umierają nocą
(śmierć ma swoją śmierć) tylko pielęgniarka Sara Subocz
Rodem z Bawarii wiedziała że słowa niezgłębione
Przez nikogo odchodzą w kwitnący sad. W porze
Podwieczorku śniła że podano na stół jeżowce
W fajansowej misie. Duże fioletowo-brunatne
Szczepione ze sobą podpalonymi końcami

Słońce zaszło za horyzont deszcz
Przyszłedł wysoki. Na drzewach oślepył owoce



Rys. Barbara Medajska

Dariusz Pawlicki

Opowieść o pewnym drzewie i jego drewnie

Człowiek „był ma wspólny z kamieniami, życie – z drzewami, czucie – ze zwierzętami, rozum – z aniołami”.

Grzegorz I Wielki

Od kilku tygodni na parapecie w moim pokoju stoi stary, bardzo stary, ale i piękny, strug. To narzędzie jest stąd, z Dolnego Śląska. Do 1945 roku mówiono nań „der Hebel”. Potem „hebel”, a jeszcze później – właśnie strug. Owo narzędzie stolarskie jest nieco pokiereszowane. Może dlatego, że długo leżało w jakiejś szopie bądź na strychu, przywalone stertą przedmiotów. W końcu jednak dotarło na giełdę staroci, na którą i ja dotarłem. Tak miało być, gdyż przypadków nie ma. Mieczysław A. Krąpiec OP zaprzeczał był ich istnieniu. Uzasadniając to tym, że „«Przypadki» są wynikiem zespołu działających różnych sił” (*Porzucić świat absurdu*). Zaś Henryk Paprocki na ten sam temat wypowiedział się tak:

Każdy przypadek ma przyczynę, a więc w rzeczywistości nie jest przypadkiem.

(„Bezkręś bezprzestrzenny”)

Tak więc, jak stało się, miało się stać.

Jest prawie pewne, że korpus owego struga, czyli tak zwaną podeszwę / stopę wykonano z drewna grabowego (dla dokładności: z drewna grabu pospolitego, *Carpinus betulus* L., rosnącego między innymi w Europie Środkowej). Z tego bowiem twardego, nie bez powodu nazywanego żelaznym, wykonywano, jak wspomina Bohdan Czeszko w „Małym stolarzu domowym”*, „narzędzia stolarskie; w pierwszym rzędzie właśnie strugi wszelkiego rodzaju”. I zaraz dodaje:

Dobrym obyczajem było dawniej robić strugi samemu, a była to praca żmudna, wymagająca niesłychanej cierpliwości i precyzji. Narzędzie takie odpłacało następnie swą przydatnością, leżało w dłoniach, a każde pociągnięcie dawało się wyčiuć. Zrobiłem sobie kiedyś strug, kiedy profesjonalnie trudniłem się stolarstwem [...].

To bardzo osobiste narzędzie Bohdan Czeszko wykonał oczywiście z grabiny. Aby uczynić je jeszcze cięższym, mimo, że to drewno, już ze swej natury jest ciężkie, za radą mistrza stolarskiego, zalepił kitem szparę w podeszwie / stopie struga. Po czym do jego wnętrza zaczął wlewać rozgrzany pokost. I czynił to tak długo, jak długo drewno grabowe „piło” ów pokost.

O tym jak bardzo osobiste może to być narzędzie, świadczy niezwykle gładka powierz-

chnia uchwytu zwanego nosem, tego struga, którego stałem się posiadaczem. Przez bardzo wiele lat zaciskały się na nim dłonie stolarzy bądź dłonie tego jednego. I to może właśnie tego, który strug ów stworzył.

Odnosnie własnoręcznego wykonania owego konkretnego narzędzia – ale najpewniej i innych – autor „Małego stolarza domowego” napisał znamienne słowa:

Kto dziś [pisał w II połowie lat 80. XX w.] bawi się w takie subtelności, a przecież to z nich właśnie składa się solenność i szlachetność sztuki, z tych wszystkich rzeczy, które nie muszą być widoczne, z poczynąń zbędnych, z czynów niekoniecznych, z działań z trudem wytrzymujących krytykę prakseologii lub zgoła aprakseologicznych.

Spraw poruszanych przez wspomnianego prozaika nie wyrażam swymi słowami, ale cytuję go, gdyż on je sprawnie opisał. Także dlatego, że pisał o tym na czym się znał, i uczynił to na długo przed tym, jak powziąłem taki zamiar. Przytaczając wyimki z jego utworu daję jemu samemu coś, co z całą pewnością jest drugim pisarskim życiem. O tym pierwszym nie można bowiem praktycznie mówić, gdyż Bohdan Czeszko od dłuższego czasu nie jest publikowany. I nic nie wskazuje na to, że to się zmieni; w bliższej i odleglejszej przyszłości.

W nazwie prostego, wręcz bardzo prostego, narzędzia o nazwie grabie tkwi, w żaden sposób nieskrywany związek z grabem. Z drewna tego właśnie drzewa najczęściej (także z buka, dębu) wykonywano bowiem tzw. zęby (znacznie później zastąpione metalowymi); różnej długości, i rozmieszczonych rzadziej bądź gęściej, w zależności od potrzeb: czy to w grabiach służących, na przykład, do grabienia obojsia, siana na łące, czy uprzętańa rżyska po żniwach.

W *Ziemi berneńskiej* Jerzy Stempowski wiele uwagi poświęca drzewom (między innymi z tego względu, tak lubię tę książkę). Pięsz wielokrotnie, i to z uczuciem, o różnych ich gatunkach, których przedstawiciele napotykał podczas swych wędrówek po okolicach Berna. Nie wspomina jednak, choćby raz, o grabie. Milczy o nim również Henry David Thoreau w *Walden. Czyli życiu w lesie* (choć gdyby było inaczej, mowa byłaby o grabie amerykańskim – *Carpinus caroliniana* Wal-

ter). Choć drzewom – kilku ich gatunkom szczególnie – poświęca on dużo uwagi. O tym drzewie głucho jest również w *Słowniku symboli* Władysława Kopańskiego. Choć na kartach owego słownika pojawiają się, i towarzyszą im obszerne informacje, inne drzewa. Nie jest ich jednak wiele: brzoza, cedr, cyprys, dąb, drzewo oliwne, figowiec, granatowiec, jesion, jodła, platan, sosna, świerk, topola, wawrzyn, wierzba.



Grab pospolity (*Carpinus betulus* L.)

Tę nieobecność grabu – nie tylko grabu pospolitego – tłumaczę sobie niewystępowaniem bądź występowaniem sporadycznym tego drzewa na terenach, których kultury dostarczyły istotnych – niekiedy wręcz dominujących – impulsów do powstawania kulturowego i cywilizacyjnego zjawiska, następnie tak wiele dającego z siebie, a nazwanego Zachodem. Grab rośnie bowiem tylko w niewielu krajach leżących w basenie Morza Śródziemnego: na przykład nie występuje w ogóle na Bliskim Wschodzie, w Grecji jest rzadkością. Nie mógł więc, chociażby za sprawą mitów greckich – tak jak m. in. dąb i jesion – przeniknąć do skarbnicy zachodniej symboliki.

Grab jest obecny (jedyne) w wierzeniach dawnych Słowian, z racji zamieszkiwania przez nich terenów, na których nie był on rzadkością. Wierzyli oni, że drzewo to chroni przed złymi mocami. Dlatego sadzili je przy domach, zabudowaniach gospodarczych. Przy

czym Słowianie południowi, co pewien czas palili w piecach grabiną. A to przede wszystkim po to, aby przegnać z domostw, lgnące do ciepła duszki leśne zwane – jakże by inaczej – grabami.

Grab pospolity rzadko jest gatunkiem dominujących. Jeśli już to wyłącznie w niewielkich lasach nazywanych wtedy grądami wysokimi. Natomiast w grądach niskich grab jest gatunkiem współpanującym wraz dębem i świerkiem. Drzewo to w większej liczbie można również podziwiać – ja je podziwiam – gdy tworzy aleje. Ma to miejsce zwłaszcza w parkach. Mam wrażenie, że szczególnie często w tych, jakie otaczały dawne rezydencje, czy to pałace czy też dwory. W parkach można również natknąć się na żywopłoty grabowe. Jako że grab pospolity jest drzewem / krzewem bardzo dobrze znoszącym przycinanie, a do tego wypuszczającym liczne odrosty, przez co żywopłot ten staje się niezwykle gęsty. Wtedy pełni nie tylko funkcje ozdobne, ale staje się również rodzajem ogrodzenia. I to skutecznego: nie tylko jeśli chodzi o ludzi, ale i o zwierzęta (szczególnie te gospodarskie).

Wyrazem zdobniczej funkcji grabu jest kilka odmian tego drzewa wyhodowanych wyłącznie w tym celu. Mam na myśli graba kędzierzawego, dębolistnego, stożkowatego i kolumnowego.

Wspomniana łatwość tworzenia żywopłotów z wykorzystaniem grabu znalazła zastosowanie między innymi przy zakładaniu labiryntów grabowych. Przykładem tego jest największy na świecie tego rodzaju labirynt, jaki znajduje się w pobliżu wsi Dobrzyca w powiecie koszalińskim. Na powierzchni 1 ha (przybliżony kwadrat o bokach około 100 metrów) posadzono 18 tysięcy sadzonek grabu. Obsadzono nimi ścieżki o łącznej długości 3218 metrów. Utrzymywana ma być dwumetrowa wysokość żywopłotu. Do wnętrza labiryntu, udostępnionego zwiedzającym w 2014 roku, prowadzi jedno wejście; wyjścia zaś są trzy.

W takim przypadku, jak ten podany powyżej, grab, choć – jak wspomniałem – jest nieobecny w słownikach symboli (dzieło Wł. Kopalińskiego nie jest żadnym wyjątkiem), nawiązuje bezpośredni związek z labiryntem. Zaś symbolika labiryntu – czy to w postaci wizerunku (np. na posadzkach gotyckich katedr), czy też budowli bądź otwartej przestrzeni zagospodarowanej bardzo prze-myślnie – jest wyjątkowo bogata. Symbolizuje on bowiem „zamęt, zamieszanie, płataninę, gmatwaninę, sytuację skomplikowaną a[bo] bez wyjścia; tortury duchowe; błędne koło, trudny i zawiły problem, sofizmaty, wieczny powrót, wtajemniczenie, umysł, mądrość; marzenia, podświadomość; spółkowanie, vulwę; grzech, ból; podziemną krainę zmarłych, piekło; niezbadane wyroki boskie; nieskończoność, gwiaździste niebo, świat; życie, świat roślinny; [...]” **.

Warto wspomnieć, że dawniej na labirynt mówiono błędnik. Nazwa ta wskazywała, i to jednoznacznie, na problemy, jakie mogą

pojawić się, gdy chce się wyjść z labiryntu. A chce tego każdy / każda.

Będąc dziś w niewielkim lesie liściastym dotykałem, czasem gładziłem korę wielu grabów i młodych, i starych. Dotyk ten sprawiał, że o wiele intensywniej doznawałem obecności tych drzew. Dotąd je (tylko) widziałem.

Dariusz Pawlicki

* Bohdan Czeszko, „Mały stolarz domowy”, w: *No-stalgie mazurskie*; Czytelnik, Warszawa 1987.

** Władysław Kopaliński, *Słownik symboli*; RYTM, Warszawa 2006.



W ciemności słowa

László Krasznahorkai i sens literatury po końcu świata

W pewnym sensie było to nieuniknione. W epoce, w której słowo coraz częściej bywa puste jak zużyta moneta, Szwedzka Akademia zwróciła się ku pisarzowi, który wciąż traktuje język jak objawienie, jak apokaliptyczną księgę, którą trzeba czytać z lękiem i zachwytem. **László Krasznahorkai** – samotny prorok z Węgier, pisarz o hipnotycznym rytmie i mistycznym ciężarze zdania – został laureatem Literackiej Nagrody Nobla 2025. To wybór, który mówi wiele nie tylko o nim, lecz także o naszej epoce.

Bo oto Akademia, oskarżana nie raz o kaprysy i przewidywalność, znów daje znak, że literatura to nie ornament współczesności, lecz jej ciemne lustro. Krasznahorkai nie uprawia narracji lekkich ani komfortowych. Jego świat to pole zgłiszcz – duchowych, moralnych, cywilizacyjnych. To proza, w której nie ma miejsca na rozrywkę ani łatwe katharsis. Jest tylko ruch myśli, który wlecze się przez ruiny świata, próbując zrozumieć, dlaczego jeszcze trwamy.

„Za hipnotyzującą i wizjonerską prozę, która w obliczu apokaliptycznych lęków do-wodzi niegasnącej mocy literatury” – tak brzmi werdykt Akademii. A więc literatura przeciwko apokalipsie. Słowo przeciwko końcowi. To piękne, choć zarazem rozpaczliwie trudne zadanie, któremu Krasznahorkai sprostał jak mało kto. Jego zdania – długie, zawiłe, oddechowe niczym modlitwa w języku, którego nikt już nie rozumie – są próbą przywrócenia powagi mowie. W czasach, gdy język służy głównie do zakrywania pustki, on używa go, by ją odsłonić.

Nie sposób mówić o Krasznahorkaim bez wspomnienia Béli Tarra – reżysera, który z jego prozy uczynił obraz i rytm, stworzył filmowe arcydzieła takie jak *Szatańskie tango* czy *Turynski koń*. Obaj zrobili coś niezwykłego: zatrzymali czas. W ich sztuce nic się nie dzieje, a jednak wszystko się wydarza. Świat się rozpada, ale w tym rozpadzie jest jakaś nieskończona uwaga wobec istnienia. To właśnie ta uwaga – niestanna, bolesna, uparcie ludzka – jest osią literatury Krasznahorkaia.

Urodzony w 1954 roku, debiutujący w połowie lat osiemdziesiątych, od początku pisał przeciwko powierzchni. W jego powieściach – od *Szatańskiego tanga* po *Seiobo tam na dole* – czuje się, że każde zdanie to walka o sens, który wymyka się światu. Jego bohaterowie błakają się jak pielgrzymi w epoce po końcu metafizyki. Są zmęczeni, ale wierzą, że gdzieś jeszcze może istnieć sens – jeśli nie w życiu, to w języku. Krasznahorkai, niczym późny modernista, traktuje literaturę jako ostatni schron transcendencji.

Ten Nobel ma też wymiar symboliczny. To nagroda dla pisarza ze Wschodu, dla autora spoza wielkich centrów literackiej mody. Węgierski język, z jego dziwną melodią i gramatyczną samotnością, staje się tu wehikułem uniwersalnego doświadczenia – strachu i zachwyty przed istnieniem. W tym sensie Krasznahorkai jest kontynuatorem tradycji Kafki i Musila, ale też Dostojewskiego i Bernharda: tych, którzy wiedzieli, że prawdziwa literatura zaczyna się tam, gdzie kończy się nadzieja.



Fot. PAP/EPA/©Gyula Czimbál

László Krasznahorkai

Niektórzy zarzucają Akademii, że znów wybrała „pisarza dla pisarzy”, że to literatura elitarna, nieprzystępna, zamknięta w gęstych zdaniach i metafizycznym bólu. Ale może właśnie o to chodzi – by przypomnieć, że książka nie musi być łatwa, by była potrzebna. Krasznahorkai pisze dla tych, którzy jeszcze wierzą, że język potrafi ocalić coś więcej niż sam siebie.

Tegoroczny Nobel to nie tylko hołd dla wybitnego twórcy, lecz także gest sprzeciwu wobec świata, który utracił zdolność skupienia. Akademia mówi: oto pisarz, który wciąż wierzy w wagę słowa.

(Dokończenie na stronie 12)

W ciemności słowa

László Krasznahorkai i sens literatury po końcu świata

(Dokończenie ze strony 11)

Oto artysta, który w epoce skrótu wybiera zdanie długie jak modlitwa. Oto świadek, który w epoce końca wciąż mówi o początku.

I może właśnie dlatego ten Nobel jest tak ważny. Bo przypomina, że literatura – prawdziwa, trudna, niepopularna – wciąż może być formą wiary. W świecie, który się kończy, słowo Krasznahorkaia jest jak ostatni oddech: ciężki, mroczny, ale wciąż żywy.

Literatura w epoce nieczytelności

Wybór Krasznahorkaia to także manifest: w świecie krótkich form, tweetów i scrollowania Akademia wskazuje na pisarza, który wymaga od czytelnika heroizmu.

Czytanie jego książek to nie konsumpcja, to doświadczenie – niemal rytuał. Gęstość języka staje się tu formą oporu wobec banalizacji sensu.

Trudno o lepszy moment na taki gest. Europa 2025 roku jest zmęczona, przesycona hałasem informacji i zmiennością emocji. Literatura, jeśli ma dziś jakieś znaczenie, musi mówić *pod prąd*. I to właśnie robi Krasznahorkai – pisze powieści, w których nie ma fabuły, lecz jest ruch świadomości; nie ma historii, lecz historia bycia. W epoce, w której wszystko staje się jednorazowe, jego proza przypomina, że słowo może być ciężarem, który warto dźwigać.

Jest też w tym werdykt: coś szczególnie europejskiego: wybór pisarza z małego języka, z kultury o wielkiej, ale często marginalizowanej tradycji. To powrót do idei wspólnoty duchowej, do przekonania, że Europa literacka nie kończy się w Paryżu czy Londynie. Akademia wskazuje Węgry – kraj podzielony, wewnętrznie rozdarty – i mówi: właśnie tam tli się jedna z najpotężniejszych świadomości współczesnego pisarstwa.

Warto dostrzec też wymiar polityczny, choć nie wprost: Krasznahorkai, artysta osobny, nigdy nie był głosem żadnej ideologii. Jego sprzeciw wobec świata nie przybiera formy manifestu, lecz medytacji. To właśnie czyni go pisarzem prawdziwie europejskim – takim, który w chaosie politycznych hałasów stawia pytanie o istotę człowieczeństwa.

Kiedys o literaturze mówiło się, że jest sumieniem świata. Dziś to brzmi naiwnie, ale może tylko dlatego, że zbyt łatwo z tego zdania zrezygnowaliśmy. Krasznahorkai pokazuje, że słowo wciąż może być moralnym gestem – nie poprzez nauczanie, lecz poprzez milczenie, rozciągnięte w zdaniu tak długim, że staje się modlitwą.

Ten Nobel jest więc nie tylko nagrodą dla jednego autora, ale i pytaniem rzuconym całej

kulturze: **czy jeszcze potrafimy czytać?** Czy jesteśmy w stanie wejść w ciemność języka, w jego powolność i trud, nie uciekając po trzeciej stronie? Jeśli tak – może nie wszystko jeszcze stracone.

Czas powolnego czytania

Nad tym Noblem unosi się cicha, ale wyraźna nuta sprzeciwu – wobec pośpiechu, powierzchniowości, wobec nowoczesności, która uczyniła z uwagi towar deficytowy. Krasznahorkai przypomina, że literatura nie jest po to, by zaspokajać, lecz by budzić głód – głód sensu, głód bycia. Czytanie jego książek to nie przyjemność, lecz akt wierności wobec istnienia.

W jego zdaniach, ciągnących się jak rzeka bez brzegów, jest coś ze starożytnego doświadczenia mowy: świadomość, że każde słowo może jeszcze żyć. Dla czytelnika z XXI wieku to doświadczenie niemal ascetyczne. Czytać Krasznahorkaia znaczy: odyskać czas. W epoce natychmiastowości to gest niemal rewolucyjny.

Tegoroczny Nobel jest więc nie tylko literackim wydarzeniem, ale i symbolicznym przywróceniem hierarchii – przypomnieniem, że w świecie sztucznej inteligencji, algorytmów i skrótów wciąż istnieje przestrzeń, w której człowiek mówi do człowieka, z pełną odpowiedzialnością za każde słowo. Krasznahorkai, ten wędrowny mnich prozy, nie daje nam ukojenia, lecz coś cenniejszego – świadomość, że można jeszcze myśleć powoli.

Może to właśnie jest dziś największym zadaniem literatury: ocalić powolność. Nie tempo, lecz głębię; nie komunikat, lecz dialog; nie slogan, lecz zdanie. W tym sensie decyzyjną Szwedzkiej Akademii to coś więcej niż wybór pisarza – to przypomnienie, że słowo, jeśli jest prawdziwe, zawsze idzie pod prąd.

W świecie, który zapomniał, jak się słucha, Krasznahorkai staje się głosem ciszy. Nie głośnym, nie efektownym, ale trwałym. I może właśnie w tej trwałości – w długim, niespiesznym oddechu jego prozy – bije ostatnie serce literatury.

Andrzej Dębowski



Stefan Pastuszewski

Nic nie ginie w odmętach czasu

wciąż obciąża mnie tych trzydzieści jeden
wózków mąki
które w nocy z 28 na 29 kwietnia 1972 roku
musałem przeładowywać z chłopskiego
wozu do wagonu kolejowego

na stacji Pruszcz-Bagienica
nie spałem aby nie zaspać tych obydwu
przyjazdów
a chłop z wozem był oczywiście przed
pociągami

osiągnąłem wtedy szczyt odpowiedzialności
– obok koniecznych pieniędzy –
choć długo bolały mnie plecy czułem się
chwalebnie
i tak do dzisiaj
przechodzi to z ojca na syna

Pruszcz-Bagienica, 11 października 2025 roku

Obraz

taki to obraz widzą i słyszą wszyscy:
stara kobieta z haczykowatym nosem idzie z
laską przed sobą

stuka
jej biała dłoń z fioletowymi żyłkami
i kasztanowymi słoneczkami
przysiadła mocno niczym gołąb na sztachecie
płotu
na wypolerowanej rękojeści złotej laski
idzie przez wieki
wciąż taka sama
niektórzy nazywają ją Jagą

a ja widzę dziewczynkę z noskiem lekko
zagiętym do dołu

skacze nie przez skakanke
ale z powodu radości
brzezi jej sukienki podfruwają jak wróble
ale zaraz siadają
i znowu
nie widzę jej przez wieki
tylko rano
oby codziennie rano

stara kobieta idzie wciąż i idzie
skacze

Grzegorz Borowiec

Do ściany

Z całej siły strzelam
z całej siły nie chcę umierać
w miejscu opuszczonym
przez Boga

Z całej siły wbijam nóż
z całej siły wyciągam krew
muszę wrócić do domu
jeszcze raz dotknąć żony
odpocząć w jej dłoniach

Z całej siły gaszę
zjadam nasze ciała
widzę już tylko czerń
jestem jak zwierzę
przyciśnięte do ściany

Kozetka (117)**Ludzka natura**

*Wolałabym zostać obudzoną
i oglądać gwiazdy niż spać.*

Vera Rubin

Joanna Friedrich

Kochany Święty Mikołaju!

Tyle lat ze swojej chmury oglądasz ludzkie igrzyska. Jak to jest możliwe, że pod tymi samymi gwiazdami żyje tylu różnych ludzi? Czy nie jest tak i wszyscy jesteśmy tacy sami, pod gwiazdami, od których przecież pochodzimy. Jesteśmy nimi. Ożywionymi minerałami.

Ad rem.

Trochę minerałów nieożywionych, trochę kaszmirów i pokój na świecie, pod choinkę poproszę. Piszę coraz rzadziej, bo wszystko brzmi jak banał.

„Wszystko już było.”

Piszę listy. Ten do Ciebie i inne, do najcierpliwszych z najcierpliwszych.

Ze skóry wyjść nie mogę, sposób na to wymyślili artyści śniąc na jawie.

(List tymczasowy:

Lubię czasem wstać jak mnich i urwać kawałek tortu dnia dla siebie, zanim się zacznie. To inne urywanie niż przed zaśnięciem. Trochę jak z owocami, mniej i bardziej dojrzałymi.

Pewna pisarka zapisuje wszystko, co jej przyjdzie do głowy, myśli, sny; mówi, że tak jest idealnie. Nowy Proust.

Pewność siebie jako narzędzie pracy. Każdego dnia szukam powodów do radości, to takie wytryski do rzeczywistości, charakterów i temperamentów, dzwonię nimi jak bransoletkami.

Wolę się śmiać, niż płakać. Lubię rozśmieszać ludzi. Siebie najtrudniej/najłatwiej.

Przy sprzątaniu telefonu weszłam w chmurę moich zdjęć.

Łatwiej powiedzieć, czego tam nie ma, niż co tam jest.

Tragedia, komedia, dramat.

Na szczęście wszystko, po wystarczająco długim czasie zamienia się w komedię. Zdać sobie z tego sprawę już wczesnym świtem: Bezcenne.

Najmocniej dotykają mnie emocje dzieci. Zapadają we mnie i pączkują, jak drożdże. Morza łez, oceany śmiechu, niebo na ziemi. Każdy jest dzieckiem. I każdy może zostać świętym (Mikołajem).

Całe to macierzyństwo. Jestem ptakiem, wiewiórką, lisem i lwem. Wodorostem i mchem. Resztką kremu, kawałkiem masła, odbitą szminką. Śniegiem i snem. Już idę po siebie. Zima.

Nie ma bardziej gwiazdkowej kolekcji niż ta od Toma Forda:



53. Warszawska Jesień Poezji Czy literaci jesiennieją?

(Dokończenie ze strony 4)

Powrót na nocleg w Domu Literatury umilały urokliwe w światłach kolorowe kamienice Starego Miasta.

Nad przebiegiem 53. WJP czuwał Grzegorz Trochimczuk, prezes Warszawskiego Oddziału ZLP. Oczywiście, odbyła się również prezentacja Antologii 53. Warszawskiej Je-

sieni Poezji, za sprawą jej autorów. To cenne – posłuchać wierszy koleżanek i kolegów po piórze, również osób dotąd nieznananych. Autorem okładki tej antologii jest Artur Krajewski.

Znaczącym wydarzeniem był, otwierający festiwal poezji, wernisaż wystawy Artura Krajewskiego w Domu Literatury – na 105-lecie Związku Literatów Polskich – „Twarze polskiej literatury w kalejdoskopie Krajewskiego”: historia ZLP w graficzno-fotograficznym ujęciu. Ścisłej mówiąc, jest to stała wystawa portretów prezesów i kilku innych postaci istotnych w strukturach związku na początku jego działalności.



Fot. Andrzej Dębkowski

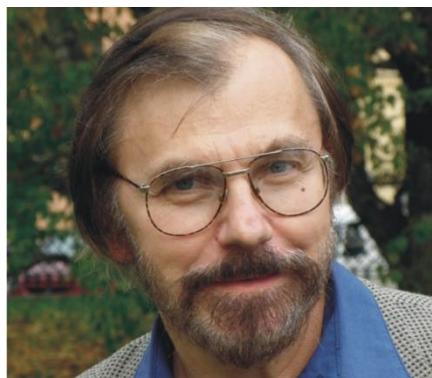
Uczestnicy Warszawskiej Jesieni Poezji 2025

Dom Literatury stał się naszą siedzibą po wojnie, w 1950 roku. Zofia Bystrzycka pisała w jednej z książek, że kiedy wiadomo już było o przeznaczeniu dla literatów pierwszych dwóch kamienic przy Krakowskim Przedmieściu obok Kolumny Zygmunta na Placu Zamkowym, nie tylko pomagali fizycznie przy ich odbudowie, ale także każdą zaoszczędzoną złotówkę na nią przeznaczali. Tak więc Dom Literatury od 75 lat służy członkom ZLP (oczywiście także Pen Clubowi i SPP). Głośno jest w kraju od trzech lat o „eksmisji” z Domu Literatury, jaka nas czeka. Piszę: nas – bo przecież tam odbywają się z naszym udziałem obrady zarządu i komisji, zjazdy, spotkania autorskie, spektakle, koncerty i inne wydarzenia, w końcu – Warszawskie Jesienie Poezji.

Bywam tu często w Bibliotece Donacji Pisarzy Polskich. Zawsze, kiedy wchodzę z ulicy do Domu Literatury już w korytarzu na dole ogarnia mnie pewne wzruszenie-uniesienie. Wchodzę po skrzypiących, krętych schodach, czuję klimat tego miejsca. To są poetyckie schody, poetyckie korytarze, także te hotelowe na najwyższym piętrze, urokliwe okna, zachwyty widokiem z balkoników i scena, na której poezja gra pierwsze skrzypce. Wszędzie tam „ładuję akumulatory”. Każdy detal ma znaczenie, każdy zakamarek. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że te dwie odbudowane z gruzów kamienice (jak niemal cała Warszawa), później odpowiednio wyposażone, od zawsze tam są, jakby wojny nie było... Jednocześnie uzmysławiam sobie, że może już wkrótce nie będzie mi dane, tak, jak i innym literatom, stąpać po tych samych schodach, czerpać tylu inspiracji i sił do tworzenia oraz działania...

Anna Andrych

Listy do Pani A. (208)



Fot. Andrzej Dębowski

List z „Klepsydrą”

Droga Pani!

Listopad jest takim miesiącem, kiedy ostrzej zauważamy, jak szybko wszystko się kruszy. My sami także – choć uporczywie wierzymy we własną „trwałość”; konstatujemy z niejakim zdziwieniem, że już jesteśmy inni, niż – powiedzmy – jeszcze dziesięć lat temu. I nie chodzi tu o jakieś wewnętrzne przemiany, ale o nasze siły, sprawność, i o tę powiększającą się pustą przestrzeń, która nas otacza.

Żyjemy często wspomnieniami. Jeśli pewne etapy naszego życia dawno przeminęły, to istnieją w naszej wyobraźni. Lękamy się złych wiadomości, choć wiemy, że w zasadzie wiele się zmieniło; że dużo osób już nie ma, choć trwają w naszej wyobraźni i wspomnieniach. Przecież byli „od zawsze”, wydawali się niezniszczalni, a więc zapewne jeszcze żyją w tych miejscach, co dawniej; miejscach, które z różnych powodów opuściliśmy, wyjechaliśmy do innych miast, zmieniliśmy pracę. Wierzmy, że brak codziennych kontaktów nie musi oznaczać nieistnienia.

Ostatnio otworzyłem sobie Wikipedię i wpisałem nazwisko mojej dawnej szefowej: Małgorzata Dipont. I co się okazało? To czego mogłem się spodziewać, ale nie dopuszczałem do racjonalnej świadomości. Małgorzata zmarła cztery lata temu w wieku osiemdziesięciu jeden lat.

Poznałem ją na zebraniu w „Szpilekach”. Redaktor Marek Przybylik organizował w tym czasie zespół redakcyjny nowopowstającego w miejsce „Życia Warszawy” inny dziennik „Życie Codzienne”. Zebranie odbyło się właśnie w lokalu „Szpilek”. Znalazłem się w zespole redakcyjnym, a Małgorzata Dipont została kierowniczką działu kultury, a więc moją szefową.

To były czasy! Siedzieliśmy przy jednym biurku, ona zlecała mi tematy artykułów. Nazywałem ją Królową, a siebie Lordem Kancle-rzem. Kiedy już wszystkie czynności były z grubsza wykonane, Małgorzata rzucała hasło: „Stefku, idziemy”. Chodziliśmy zatem do różnych sklepów, w południe na pokazy filmowe dla prasy. Dzięki niej poznałem Jej męża, wybitnego reżysera Jerzego Kawalerowicza. Po pokazach odwoziła mnie często swoim

samochodem do domu, bo mieszkaliśmy w jednej dzielnicy.

Wiele wspomnień, przyjaznych chwil, pomimo stresów związanych z pracą, które ja niekiedy w sposób irracjonalny, przeżywałem. Ale ona zawsze potrafiła uspokoić, spokojnie zasugerować poprawki w tekście; miała poczucie humoru. Była to osoba o wielkiej kulturze osobistej. A teraz... Och, ta Wikipedia! Po co tam zajrzałem, choć przeczuwałem... Pani takich przypadków ma pewnie zdecydowanie mniej. Ostatecznie – mogę zdradzić, bo to bynajmniej nie moja wina – dzieli nas ćwierć wieku!

Wraz z ludźmi odchodzi jakaś cząstka świata, nas samych. Wszystko staje się jakieś inne.

Umierają nam także poetyckie festiwale. Nie ma już Festiwalu Poezji Słowiańskiej ani Dnia Poezji UNESCO organizowanych przez Aleksandra Nawrockiego, Literackich Plenarów w Staszowie, których duszą był Stanisław Nyczaj. A teraz – wraz ze śmiercią Andrzeja Grabowskiego – skończyła się Galicyjska Literacka Jesień Pogórza.

Zobaczyłem w telefonie wiadomość od poety Janka Dydusiaka, że nasz Malutki, czyli Andrzej G., nie żyje. Straszne, nieprawdopodobne zaskoczenie; jak to, Andrzej, taki aktywny, pełen życia, humoru, twórczej aktywności tak szybko odszedł? Wprost wierzyć się nie chce.

Wokół mnie staje się coraz bardziej pusto. Nie ma Aleksandra Nawrockiego i jego żony czyli Pani Basi, jak nazywaliśmy ją wszyscy, Leszka Żulińskiego, Kazia Ivosse, Stasia Nyczaja, teraz Andrzeja Grabowskiego... I wielu, wielu innych przyjaciół i znajomych z kręgów literackich, często moich rówieśników, niekiedy nawet młodszych. Nie chcę tu robić wspominków, choć to listopad. Mam ich wszystkich w pamięci, i oni zasiedlają moją wyobraźnię. Jakby nie stało się nic, choć stało się tak wiele...

Zastanawiałem się, jak to jest: skoro się rodzimy, to dlaczego musimy umierać. Czy nie mogło to wszystko być inaczej urządzone? Jaki jest tego wszystkiego sens? Na to dotychczas najmądrzejsi filozofowie wespół z teologami nie znaleźli, jak dotąd, odpowiedzi. I mam wrażenie, że nie znajdą, bo tajemnica ta zostanie rozwiązana, mam nadzieję, dopiero u końca czasów. Tymczasem cieszymy się tym co jest.

Odsłuchałem właśnie kolejną audycję jezuit Grzegorza Kramera. Grzegorz – powołując się na Ewangelię – przypominał, że należy cieszyć się tą chwilą, która właśnie jest, korzystać z niej i wyciągać wszelkie dobro. Bo ona już nie wróci. Czasu cofnąć ani powtórzyć się nie da. Pisała Wisława Szymborska „nic dwa razy się nie zdarza”. Ale za każdym razem coś może być innego, może nawet większego i radośniejszego; czas pędzi do przodu. Spopielenie kartki nawet z najpiękniejszym wierszem już nie odzyskasz. Musimy zatem żyć w danych nam realiach, uczestniczyć w życiu świadomie. Dlaczego tak jest – nie wiem. Polecam Pani filmiki Grzegorza na youtube. Ale mi się zebrało na filozofowanie, pewnie z powodu zaduszkowej atmosfery.

Niedawno w Kielcach w Alei Sław odbyła się uroczystość odsłonięcia popiersia Stanisława Nyczaja. Wybierałem się do Kielc, miałem to w planach, ale człowiek – jak Pani wie – nie zawsze jest panem swoich sił i zdrowia. Musi wystarczyć sama duchowa obecność. Z radością i zarazem z żalem, że nie mogłem tam być razem z Przyjaciółmi i Kolegami, obejrzałem szereg zdjęć z uroczystości. Przemówienia, wspomnienia, nastrój podniosły, jak relacjonowała mi Irena Nyczaj. Zresztą waga i powaga tej uroczystości w swoisty sposób wybrzmiała i na zdjęciach. Są na facebooku oraz stronie Ireny.

Bywa tak, że niekiedy zdalne uczestnictwo musi wystarczyć. Sporo osób tam było, z którymi chciałem się spotkać. Przede wszystkim właśnie z Irenką Nyczaj, Janem Chruslińskim, Elą Musiał... Nie, nie będę Pani wyliczał, bo to niepełna prawda. Spotkać się chciałem bez wyjątku ze wszystkimi.

Ukazał się nowy numer „LiryDramu” poświęcony Andrzejowi Tchórzewskiemu. Tam w tekście poświęconym temu wybitnemu poecie i myślicielowi znalazłem cytaty z moich tekstów, które pisałem o Andrzeju. A kilkanaście stron dalej wspomnienie pióra znakomitej poetki Aldony Borowicz, prywatnie żony Andrzeja. Przyjaźniłem się z obojgiem, bywaaliśmy u siebie. Lubiłem jeździć do nich na działkę, rozmawiać wśród kwiatów i śpiewu ptaków. Poruszaliśmy zagadnienia filozoficzne, ale nie tylko. Było też sporo śmiechu i zabawy. Niestety, nie ma już Andrzeja. Ale jest Aldona. Niedawno rozmawiałem z nią przez telefon. Zauważyliśmy oboje, że pomimo bardzo długiej przerwy nasza przyjaźń wcale nie wygasła. Mamy nadzieję spotkać się wkrótce. A we wspomnieniu napisanym przez Aldonę znalazłem obszernie cytaty z moich szkiców o Andrzeju. Jaka miła i wzruszająca niespodzianka!

Nie tylko spotykają nas same smutki, nawet na jesieni. W trzecim numerze „Akcentu” znalazły się moje wiersze. Zajrzałem potem do internetu, aby obejrzeć relację z promocji tegoż numeru. I co widzę, a właściwie słyszę, a lepiej: widzę i słyszę? Oto znakomite poetka Beata Gołack (Kalina Kowalska) omawia poezję zamieszczoną w tym numerze. Wspomina prawie wszystkich poetów, a ja już straciłem nadzieję, że mnie zauważyła. Tymczasem na koniec powiada: „a wiersze Stefana Jurkowskiego zostawiłam sobie na koniec”. Skoncentrowała się głównie na utworze „Klepsydra”. Podzieliła się bardzo trafnymi, mądrymi spostrzeżeniami i konkluzjami. Potem przeczytała ów wiersz w całości. Byłem zaskoczony i wzruszony. To także chwila szczęśliwa, która w identycznej odsłonie się nie powtórzy. Ale mam nadzieję, że jeszcze nie koniec, jeszcze się coś w moim życiu wydarzy równie ważnego.

Życzę więc Pani chwil ważnych i jasnych, i złotej jesieni pomimo wszystko... –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

„Odyseje” Stefana Rusina

Nowa książka Stefana Rusina, zatytułowana „Odyseje”, to wydarzenie nie tylko w jego dorobku, lecz także w szerszym pejzażu współczesnej polskiej krytyki literackiej. Rusin jest autorem o bogatym doświadczeniu – poeta, prozaik, eseista, krytyk, malarz – człowiek wielu talentów i jednocześnie niezwykle systematyczności. Od lat buduje swój literacki świat, w którym analizy twórczości wielkich autorów i poetów przeplatają się z własnymi wierszami, szkicami, refleksjami. Jednak w Odysei idzie o krok dalej. Decyduje się zebrać siedem obszernych szkiców, poświęconych twórczości wybranych autorów, którzy – każdy na swój sposób – odbywali odyseję wewnętrzną i zewnętrzną, zmagali się z losem, z historią, z własnymi słabościami, a jednocześnie budowali światy literackie, które do dziś zachwycają i inspirują.

Andrzej Dębkowski

Już sam tytuł nie jest przypadkowy. Odwołanie do Homera, do wielkiej podróży Odyseusza, staje się metaforą losów artystów. Wędrowka, tułaczka, poszukiwanie sensu i zmaganie się z przeciwnościami to motyw uniwersalny, który pozwala Rusinowi objąć całość doświadczenia literackiego i egzystencjalnego swoich bohaterów. W jego ujęciu Kawafis, Leśmian, Achmatowa, Cwietajewa, Baczyński, Baran i Benka są niczym współcześni herosi – nie zawsze zwycięzcy, często tragiczni, ale zawsze wyjątkowi.

Metoda Rusina jest charakterystyczna i konsekwentna. Nie ucieka się do naukowego żargonu, nie zasypuje czytelnika przypisami

ani cytatami krytyków. Posługuje się językiem prostym, klarownym, komunikatywnym. Skrupulatność jego lektury widać w detalach, ale zamiast erudycyjnych popisów dostajemy przejrzystość i przekonanie, że o literaturze mówi się najlepiej, gdy mówi się wprost. Rusin rezygnuje z ornamentu, bo wie, że nie on jest bohaterem książki – bohaterami są twórcy, którym oddaje głos i uwagę. Dzięki temu czytelnik nie ma poczucia obcowania z hermetycznym dziełem krytycznym, ale raczej z żywą rozmową o literaturze, w której liczy się pasja, zaangażowanie i chęć zrozumienia.

Pierwszy szkic, poświęcony Konstandinosowi Kawafisowi, to podróż do Aleksandrii – miasta-symbolu, przestrzeni, w której Wschód spotyka się z Zachodem, gdzie antyk miesza się z nowoczesnością, gdzie intymność przeplata się z monumentalnością. Kawafis to poeta, który przez lata pozostawał na marginesie, niechętnie publikował, pisał w ciszy i samotności, a jednak stworzył dzieła niezwykle doniosłe. Rusin podkreśla subtelność jego języka – czułość wobec szczegółu, delikatność obrazów, które niosą w sobie wielką moc. W wierszach Kawafisa historia helleńska spotyka się z codziennym doświadczeniem miłości – tej zakazanej, homoseksualnej, przeżywanej w ukryciu, a jednocześnie przepiękniej. Rusin pokazuje, że właśnie w tym napięciu między prywatnością a uniwersalnością rodzi się wyjątkowość tej poezji. Kawafis staje się poetą odysei intymnej, podróży przez pragnienia i lęki, przez tęsknotę i namietność, poetą, który w ciszy swego pokoju buduje świat, jakiego nie da się zniszczyć. Jego subtelność nie jest słabością, lecz siłą – siłą sprzeciwu wobec norm, wobec świata, który nie akceptuje inności.

Rusin nie zatrzymuje się jednak tylko na warstwie tematycznej. Zwraca uwagę na warsztat Kawafisa – na jego oszczędność, lapidarność, umiejętność uchwycenia całej historii w kilku wersach. W jego interpretacji poeta Aleksandrii jawi się jako mistrz prostoty, który unika nadmiaru, bo wie, że prawda literatury tkwi w ciszy między słowami. Ta cisza, jak zauważa Rusin, jest równoważna z przestrzenią podróży – nie trzeba przemierzać mórz, by być Odyseuszem. Wystarczy podążać za własnym sercem, własnym pragnieniem, własną samotnością.

Z Aleksandrii Rusin przenosi nas do świata Bolesława Leśmiana, poety, którego twórczość od dawna fascynuje czytelników i badaczy. Leśmian to artysta niezwykle oryginalny, twórca języka pełnego neologizmów, światów baśniowych, ale i filozoficznych. Rusin przypomina, że Leśmian, choć niewysokiego wzrostu i pozorowanie niepozorny, miał ogromną charyzmę i przyciągał do siebie kobiety, które inspirowały jego twórczość. W *W malinowym chruśniaku* objawia się zmysłowość i cielesność, ale też niezwykła delikatność, która potrafi uczynić z erotycznego spotkania wydarzenie kosmiczne, niemal metafizyczne.

Rusin widzi w Leśmianie odyseusza języka – kogoś, kto nieustannie przekracza granice słów, kto buduje nowe światy ze składników marzeń i wyobraźni. Jego podróż nie

odbywa się w przestrzeni geograficznej, ale w sferze wyobraźni, w podświadomości, w zakamarkach ludzkiej psychiki. Leśmian to wędrowiec, który idzie tam, gdzie inni nie odważyliby się zajrzeć – do świata, w którym natura i człowiek stają się jednością, w którym życie i śmierć przenikają się nawzajem, w którym baśń staje się narzędziem filozoficznej refleksji. Rusin, analizując jego twórczość, pozostaje wierny swojej metodzie: mówi jasno, prosto, nie komplikuje, ale właśnie dzięki temu otwiera przestrzeń do zrozumienia Leśmiana.

W kolejnych esejach Rusin przywołuje dwie wielkie poetki rosyjskie – Annę Achmatową i Marinę Cwietajewą. Obie tworzyły w czasach, gdy reżim sowiecki dławił nie tylko wolność, ale i samo życie. Achmatowa to dla Rusina figura monumentalna, kobieta, która mimo tragedii osobistych i politycznych potrafiła zachować godność. Jej wiersze są świadectwem odwagi, a zarazem powściągliwości – mówiły o bólu, stracie, cierpieniu, ale bez krzyku, raczej szeptem, który miał większą moc niż gromkie manifesty. Rusin widzi w Achmatowej odyseuszkę, która przeszła przez piekło historii, ale nie pozwoliła, by ją złamało. Jej podróż to podróż przez cierpienie do godności, przez utratę do trwania, przez tragedię do literackiej nieśmiertelności.

Cwietajewa natomiast jawi się jako zupełnie przeciwieństwo – żywioł emocji, namietności, pasji. Jej życie było pełne dramatycznych wyborów – poszła za mężem na wygnanie, powróciła do ojczyzny, która okazała się miejscem opresji, i tam nie wytrzymała presji, kończąc życie samobójstwem. Rusin analizuje jej twórczość jako odyseję namietności – podróż, która nie znajduje portu, podróż wiecznie niespokojną, prowadzącą do katastrofy. Jednak właśnie ta katastrofa sprawia, że jej poezja jest tak niezwykła. Cwietajewa nie kalkulowała, nie ukrywała emocji – jej wiersze są jak krzyk, jak wyznanie, jak akt desperacji, który jednocześnie staje się sztuką najwyższej próby.

W szkicu o Krzysztofie Kamiliu Baczyńskim Rusin dotyka jednego z najważniejszych mitów polskiej kultury. Baczyński – poeta-żołnierz, który zginął w powstaniu warszawskim – to postać symboliczna. Rusin nie popada jednak w łatwy patos. Zwraca uwagę, że twórczość Baczyńskiego jest niezwykle dojrzała, pełna symboliki, obrazów onirycznych, a jednocześnie zakorzeniona w realiach wojny. To poezja dualna – z jednej strony pełna dramatycznych obrazów zniszczenia, z drugiej – przesiąknięta marzeniem, snem, nadzieją. Baczyński odbywa swoją odyseję w przyspieszonym tempie – jego życie to krótka, gwałtowna podróż, która kończy się tragicznie, ale dzięki poezji staje się wiecznym świadectwem. Rusin analizuje jego twórczość jako przykład tego, jak literatura potrafi ocalić człowieka – nawet jeśli fizycznie zostaje on zniszczony, jego słowo trwa.

Józef Baran, kolejny bohater *Odysei*, to poeta innego rodzaju – bardziej codzienny, bardziej osadzony w rzeczywistości.

(Dokończenie na stronie 16)

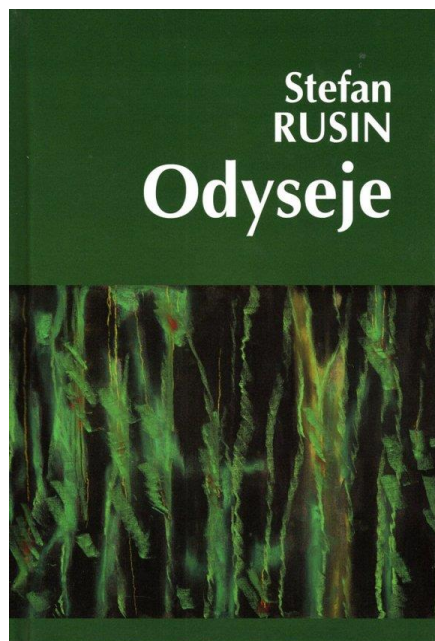
„Odyseje” Stefana Rusina

(Dokończenie ze strony 15)

Rusin pokazuje go jako człowieka rozdarczego między światem duchowym a zmysłowym, między refleksją a przyjemnością, między metafizyką a codziennością. Baran nie ucieka od ciała, od zmysłów, od doświadczeń życia, ale potrafi je przekształcić w poezję, która mówi coś istotnego o ludzkiej kondycji.

Rusin podkreśla jego dziecięcą witalność – zdolność do zachwytu, do dostrzegania piękna w drobiazgach, do czerpania radości ze świata. To właśnie ta cecha czyni jego poezję tak bliską czytelnikom. Odyseja Barana nie jest dramatyczną tułaczka przez historię czy tragedię, lecz raczej nieustanną podróżą w głąb codzienności, w której zawsze można odnaleźć coś niezwykłego.

Na zakończenie Rusin analizuje twórczość Urszuli Małgorzaty Benki – poetki i eseistki, która tworzy niezwykle teatr wyobraźni. Jej utwory są gęste od znaczeń, pełne archetypów, symboli, odwołań do różnych kultur. Rusin podkreśla, że Benka nie jest autorką hermetyczną – jej twórczość, choć skomplikowana, pozostaje otwarta, zaprasza do interpretacji. Jej odyseja to podróż przez psychikę ludzką, przez meandry świadomości, w których odbija się cała historia cywilizacji. Rusin widzi w niej artystkę, która potrafi połączyć tradycję z nowoczesnością, mit z osobistym doświadczeniem, tworząc dzieło oryginalne i poruszające.



Całość książki spaja idea odysei – podróży, która jest metaforą ludzkiego losu. Rusin pokazuje, że każdy z bohaterów jego szkiców odbywa własną odyseję – czasem tragiczną, czasem spokojną, czasem pełną napiętności, czasem powściągliwą. Wszyscy

jednak łączy jedno – dzięki literaturze ich podróże stają się wieczne.

Rusin, jako eseista, pozostaje wierny sobie – jego język jest prosty, klarowny, komunikatywny. Nie sili się na efektowne frazy, bo wie, że prostota ma większą siłę. Jego skrupulatność sprawia, że każdy szkic jest dopracowany, a jednocześnie nie przytłacza czytelnika. *Odyseja* to książka, którą czyta się nie jak traktat krytyczny, ale jak opowieść – opowieść o ludziach, którzy poprzez literaturę próbowali zrozumieć siebie i świat.

Andrzej Dębkowski

Stefan Rusin, *Odyseje*. Redakcja: Sebastian Wysocki. Na I stronie okładki reprodukcja projekt tkany artystycznej autora. Na IV stronie okładki zdjęcie autora. Wydawnictwo Glicynia, [bez miejsca wydania], s. 268.

Polska, to biedny umysłowo naród

Polska, to biedny umysłowo naród. Wiem, brzmi brutalnie. Ale może czas przestać się oszukiwać, że wystarczy flaga w oknie, orzeł na bluzy i „Bóg, honor, ojczyzna” w biografii na Facebooku, żeby być mądrym, światłym i dumnym człowiekiem. Bo prawda jest taka, że od dawna nie jesteśmy ani mądrzy, ani światli, ani – w głębszym sensie – dumni. Jesteśmy zblazowani, zakompleksieni i wściekle przekonani o własnej racji. Bieda umysłowa nie boli, bo człowiek biedny intelektualnie nawet nie wie, że jest biedny.

Wystarczy rozejrzeć się dookoła. Kraj, w którym prawie połowa ludzi nie czyta ani jednej książki rocznie, za to codziennie czyta komentarze na Facebooku, nie może się uważać za oazę intelektu. Kraj, w którym nauczyciel jest biedakiem, a influencer z ładnym uśmiechem autorytetem, ma problem. W Polsce bardziej oplota się krzyczeć niż myśleć, mieć pogląd niż wiedzę, a „mieć rację” niż rozumieć.

To nie jest już nawet kwestia polityki – to stan ducha. Bieda umysłowa zaczyna się tam, gdzie kończy się ciekawość świata. A my, Polacy, od dawna nie jesteśmy ciekawi. My wszystko już wiemy. Wiemy, że Unia to spisek, że szczepionki to kontrola, że Niemcy chcą nas zniewolić, a Ukraińcy nas „zalać”. Wiemy, że historia zawsze była po naszej stronie, a jak nie była – to na pewno przez zdradę obcych. Wiemy wszystko, poza jednym: jak ze sobą rozmawiać.

Polska dyskusja publiczna to nie rozmowa, tylko wojna domowa na komentarze. Każdy z nas jest generałem we własnym okopie poglądów. Po jednej stronie patrioci, po drugiej zdrajcy, po jednej stronie „ciemnogród”, po drugiej „lemingi”. Kto próbuje zrozumieć, ten podejrzany. Kto zadaje pytania – ten

„agent wpływu”. Bieda umysłowa objawia się tym, że nie potrafimy już się różnić bez nienawiści.

Niektórzy powiedzą: „nie przesadzaj, przecież mamy tylu zdolnych, tylu mądrych, tylu wykształconych ludzi!”. Oczywiście, że mamy. Ale co z tego, jeśli oni uciekają – za granicę albo do ciszy. Bo tu, nad Wisłą, myślenie jest niebezpieczne. Tu trzeba być „normalnym”. A normalność w polskim wydaniu to kombinacja wiecznego oburzenia, wiejskiego sprytu i głębokiego przekonania, że wszyscy inni mają gorzej.

W polskim społeczeństwie wiedza się nie oplota, kultura jest luksusem, a rozsądek – zdradą narodową. Od przedszkola uczymy dzieci patriotyzmu, ale nie uczymy ich myślenia. W efekcie wyrasta pokolenie, które wie, kim był Piłsudski, ale nie wie, jak działa kredyt hipoteczny. Umieemy recytować Mickiewicza, ale nie umiemy się z nim nie zgodzić. Jesteśmy dumni z przeszłości, a kompletnie bezradni wobec teraźniejszości.

I nie, to nie wina polityków. Politycy są tylko lustrem – odbiciem społeczeństwa, które ich wybiera. Jeżeli kłown trafia do Sejmu, to znaczy, że ktoś kupił bilet na jego występ. Jeżeli nienawiść sprzedaje się lepiej niż rozsądek, to znaczy, że klient woli tani spektakl od trudnej prawdy.

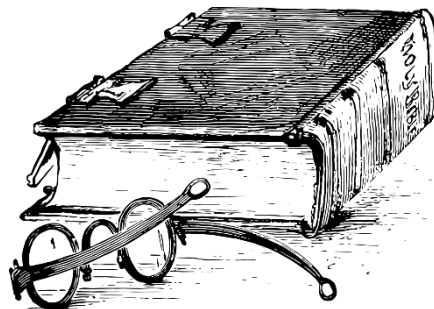
Bieda umysłowa nie jest więc problemem elit – to choroba masowa. Objawia się w języku, którym mówimy. W braku czytania, w ślepym przywiązaniu do symboli, w religii bez duchowości i patriotyzmie bez myślenia. Objawia się w pogardzie dla inności, w śmiesznej potrzebie bycia „lepszym narodem”, choć od dekad nie potrafimy zbudować kolei, na której pociąg nie spóźnia się o godzinę.

Ale żeby nie było: to nie jest felieton przeciw Polsce. To felieton przeciw głupocie, która się w Polsce rozpanoszyła jak chwast. Bo jeśli jeszcze coś można uratować, to tylko przez samoświadomość. Przez odwagę, by spojrzeć w lustro i powiedzieć: „tak, jesteśmy biedni umysłowo, ale możemy się z tego wyleczyć”.

Nie trzeba rewolucji. Wystarczy kilka prostych rzeczy: przestać się obrażać na fakty, zacząć czytać, nauczyć się słuchać, zrozumieć, że mądrość nie ma barw partyjnych. I zrozumieć, że patriotyzm bez rozumu to tylko hałas.

Bo Polska, która myśli, to Polska, której nie trzeba bronić – sama się obroni. Ale Polska, która nie myśli, prędzej czy później znów stanie z ręką w czapce i zdziwieniem w oczach, że historia ją przegoniła.

Andrzej Dębkowski



Powroty Czerniawskiego

Mój przyjaciel **Tadeusz Czerniawski**, znakomity pisarz i człowiek o niezwykłej wrażliwości, znów dał nam coś więcej niż książkę – dał nam świadectwo. Jego najnowsze wspomnienia pt. „Powroty” prowadzą nas w krainę, której już nie ma na mapie, ale która wciąż żyje w sercach tych, którzy musieli ją opuścić. To Wileńszczyzna, ziemia urodzaju i pamięci, ziemia dzieciństwa i młodości, ziemia, z której trzeba było odejść. Tadeusz pochodzi z okolic Twercza – miejsca, które jak w soczewce skupia losy tysięcy Polaków z tamtych stron.

Czytając jego opowieści, odżywają we mnie refleksje o tamtym czasie, o pierwszej fali przesiedleń w latach 1944-1946 oraz później, o największej w polskich dziejach powojennej tułaczce. Z jednej strony to historia zapisana w podręcznikach – decyzje wielkich mocarstw w Teheranie, Jałcie, Poczdamie, polityczne układy, zimna kalkulacja geopolityki. Z drugiej – dramat pojedynczych ludzi, którzy z dnia na dzień musieli zostawić swoje domy, sady, ziemię i mogli bliskich.

To właśnie w tych wspomnieniach, takich jak te pisane przez Tadeusza, kryje się prawdziwe oblicze tamtej historii. Bo przecież nie chodzi tylko o liczby – o miliony przesiedlonych, o transporty ciągnące się tygodniami, o wagony towarowe zamienione w prowizoryczne mieszkania. Chodzi o łzy matek, które żegnały progi, na których witały życie swoich dzieci. Chodzi o spojrzenia ojców, którzy ostatni raz zamykali drzwi rodzinnych domostw. Chodzi o ciszę cmentarzy, które trzeba było zostawić – bez nadziei, że kiedykolwiek uda się tam wrócić, zapalić świeczkę, dotknąć nagrobnej płyty.

Repatriacja – słowo brzmiące sucho i urzędowo. A przecież dla tych, którzy ją przeżyli, była to tragedia na miarę biblijnej wędrówki. Niby „dobrowolna”, a jednak wymuszona, podszyta strachem i presją, że kto zostanie, ten będzie obywatelem drugiej kategorii, podejrzanym w oczach nowej władzy. Ilu ludzi szło wtedy do pociągów ze ściśniętym sercem, spoglądając przez łzy na drzewa, pola, rzeki, które znało każde ich dziecko. Ilu obiecywało sobie – wrócimy, może kiedyś, może za rok, za dwa.

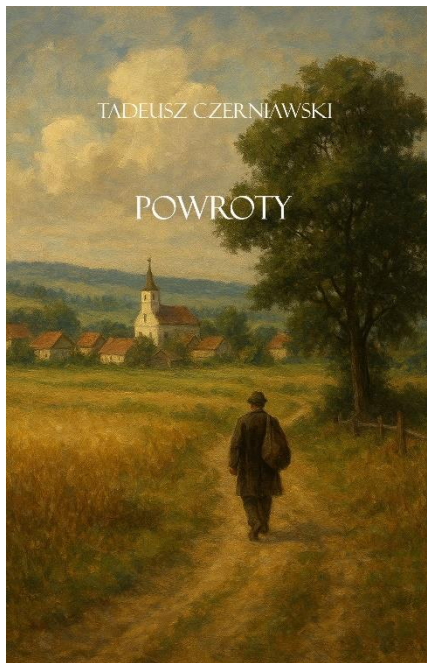
A potem była podróż. Tygodnie spędzone w bydlęcych wagonach, z garścią chleba, z workiem ziemniaków, z garnkiem, kołdrą i tym, co jeszcze udało się uratować. I było niebo nad torami, nocą rozświetlane gwiazdami, które już nie były tymi samymi, co nad Wilnem, nad Wołyniem, nad Polesiem. A jednak Polacy jechali, trzymali się razem, dzielili ostatnią kromkę i ostatnie słowo otuchy.

Dotarli na ziemię obce – „odzyskane”. Dolny Śląsk, Pomorze, Warmia, Mazury. Dla wielu były to krainy zimne i obce, w których brakowało korzeni, gdzie każdy kamień i dom przypominał jeszcze niemieckie życie. I trzeba było te ziemie ośwoić – nazwać po polsku,

zaorać na nowo, pobudować wspólnotę od zera. To właśnie wtedy rodziła się Polska, jaką dziś znamy – jednolita, odarta z wielokulturowości, która przez wieki była jej bogactwem, a zarazem silna dzięki temu, że ci przesiedleńcy potrafili przetrwać, stworzyć od nowa szkoły, parafie, rodziny, tradycje.

A jednak tęsknota nigdy nie minęła. W domach na Dolnym Śląsku czy Pomorzu przez dziesięciolecia opowiadano dzieciom i wnukom o Kresach, o Wileńszczyźnie, o poleskich bagnach, o wołyńskich sadach. Mówiono o niebieskich cerkwiach, o śpiewach nad Niemnem, o zapachu żytni i o brzozech, które szeptały jak nigdzie indziej. Dzieci słuchały i wiedziały, że gdzieś tam, daleko, istnieje kraina utracona – raj utracony.

Tadeusz swoją książką znów ożywia ten świat. To nie jest tylko powrót do własnego dzieciństwa, to także dar dla nas wszystkich. Bo dzięki takim świadectwom pamięć nie ginie. Bo czytając o jego młodości, latami na Wileńszczyźnie, widzimy nie tylko historię jednej rodziny, ale losy całego narodu. A zarazem widzimy coś jeszcze – ogromną siłę, która pozwalała ludziom przetrwać i budować od nowa, mimo bólu i nostalgii.



Kiedy dziś myślę o Tadeuszu Czerniawskim i jego twórczości, przychodzi mi do głowy jedno – że jest on nie tylko pisarzem, ale strażnikiem pamięci. Strażnikiem, który ocala świat, którego już nie ma, i daje go następnym pokoleniom. Bo bez pamięci nie ma ciągłości, bez pamięci gubimy się w teraźniejszości.

Jego książki są jak pomniki – nie z kamienia, lecz ze słów, z obrazów, ze wspomnień. W tych pomnikach słychać śmiech dzieci biegających po kresowych łąkach, widać twarze matek szykujących chleb, czuć zapach ziemi, którą trzeba było zostawić. To wszystko ożywa, gdy sięga się po jego twórczość.

I dlatego, kiedy myślę o Kresach, myślę też o przyjaźni z Tadeuszem. Bo w jego historiach odbija się nie tylko jego własny los, ale i los

milionów. A jednocześnie jest w nich coś osobistego, ciepłego, ludzkiego – coś, co sprawia, że historia przestaje być tylko datą i faktami, a staje się dotknięciem serca.

Kresy utracone – tak się mówi. Ale dzięki ludziom takim jak Tadeusz Czerniawski są one wciąż obecne. W słowach, w opowieściach, w pamięci. I może właśnie w tym tkwi siła literatury – że potrafi przywracać światy, które odeszły, a zarazem budować mosty do przyszłości.

Bo kto pamięta, ten żyje. A kto opowiada, ten sprawia, że inni też mogą żyć pamięcią.

Andrzej Dębkowski

Tadeusz Czerniawski, *Powroty*. Redakcja, wstęp, zdjęcie, projekt okładki: Andrzej Dębkowski. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Żelów 2025, s. 124.



Warto czasami sięgnąć po „Książkę z wierszami”

Zazdroszczę Kazikowi tego tytułu. Jest niesamowity: oczywiście-nieoczywisty albo nie-oczywiście oczywisty! Jak kto sobie życzy. **Kazimierz Kochański** nadał swemu najnowszemu tomikowi tytuł tak prosty, że aż genialny! Są półki z książkami (żywię nadzieję, że w każdym domu) no to na niej powinny być i... książki z wierszami. Powtarzam po wielokroć moją niesamowitą (wtedy tego nie wiedziałem) przygodę z literaturą. A było to tak. Mój dziadek śpiewał wnukom – a miał nas sporo przy siedmiorgu swoich dzieci! – piosenkę, którą znaliśmy na pamięć, ale nie wiedzieliśmy co to za tekst i skąd. Byliśmy 4-6 latkami biegającymi z zasmakowanym nosem po dziadkowym obejściu. Była to mickiewiczowska ballada „Alpuhara” z „Konrada Wallenroda”. Zanim więc dorobiłem się swojej półki z książkami już znałem niektóre teksty z literatury i to nieliczej. Teksty śpiewane łatwiej wchodziły do głowy. Piszę o tym, by od razu zwrócić Waszą wagę na muzyczność wierszy Kochańskiego. To niebagatelna dziś i rzadka cecha współczesnego wiersza – jego muzyczność właśnie. Kazik – ci, którzy go znają, to wiedzą – jest też muzykiem, śpiewakiem; nie wiem, jak sam siebie określa i szczerze pisząc mało mnie to obchodzi, bo wystarczająco dobrze określają go jego teksty. Zobaczcie, usłyszcie jeden z nich:

(Dokończenie na stronie 18)

Warto czasami sięgnąć po „Książkę z wierszami”

(Dokończenie ze strony 17)

Szpargały

Zgubiłem, czego nie miałem;
a ty masz taką siłę,
że odnajdujesz mnie w miejscach,
gdzie nie ma mnie – nigdy nie byłem!

I burzysz niezbudowane,
bezduszną obdarzasz ciałem...
Już nie wiem, czy nadal jestem.
Może się nigdy nie stałem.

Rodzi się, co niepoczęte.
Bezsprzeczne nikt nie w głuszy.
Nie pytam o nic nikogo;
zważyli nawet zakusy.

Ufa ci moja niewiara,
gotowa na inne cuda...
Rwą szaty, Zbrodnia i kara,
któremu z nas się nie uda.

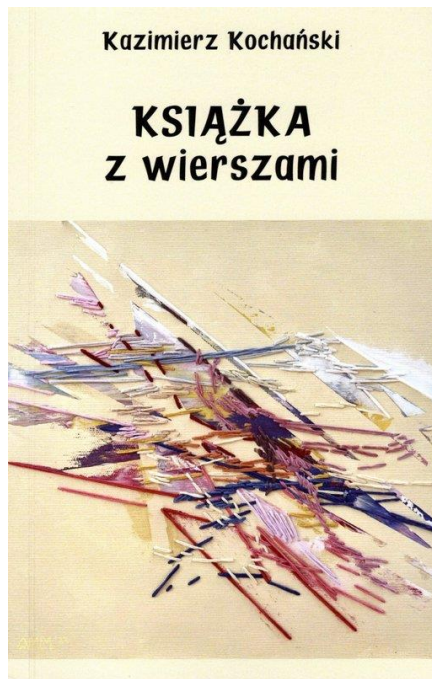
Znajduję w tym wierszu, wierszu kongenialnym to, co dla mnie w poezji najważniejsze: przekaz od człowieka do człowieka. Przekaz jakże zdawałoby się prosty, a przecież głęboki i wcale nie łatwy do uchwycenia, przekaz poetycki z pogranicza romantyzmu i freudyzmu, wychodzący jakby od niemal ludowego zaśpiewu a penetrujący świat między człowiekiem i człowiekiem w sposób zjawiskowy, nacechowany wewnętrznym napięciem językowym (myślę tu o tych wszystkich zwrotach: *odnajdujesz mnie w miejscach/ gdzie mnie nie ma; Rodzi się, co niepoczęte; Ufa ci moja niewiara*). Kochański eksploruje rejony niby nam wszystkim dostępne, ale czy na pewno? Czy właśnie nie od poezji oczekujemy, aby nas w nie wciągnęła, nazwała to, czego nasz „zwykły” (czytaj: niepoetycki) język nie wystawia a dusza i serce wie, że w nas to – niewysłowione – jest!

Takich wierszy w „Książce z wierszami” znajdziecie więcej. Nie mam zamiaru odbierać Wam przyjemności lektury nieskażonej krytyczno-recenzenckim *głędzeniem*. Głędzę jednak dlatego, że Kazik Kochański jest – i w tym tomiku to doskonale widać – poetą zaprzyjaźnionym z językiem i z... ludźmi. Inaczej nie dostalibyśmy tak czystej moralnie, tak świeżej emocjonalnie i tak pięknej językowo poezji. Warto sięgnąć po „Książkę z wierszami”, aby zobaczyć, że możliwa jest współczesna poezja nie będąca językową *kwadraturą* koła, poezja, której nie trzeba czytać ze „słownikiem nadętych wyrazów”, że jest możliwa poezja, w której o *poetyckim ego* zaświadcza wiersz a nie deklaracje autorskie na wieczorach

poetyckich, czy recenzenci szukający „*żdźbła w oku*” czytanego wiersza. Poezja Kochańskiego wpisuje się w nurt literatury, jak to nazywam, ratującej język. I proszę mi wierzyć, że wiem, co mówię! A jak mi nie wierzycie, to odśylam do „Książki z wierszami”.

I jeszcze jedno zaskoczenie Was czeka – „Książka z wierszami” jest też książką z... obrazami, ale to już zostawiam do osobistego oglądu i podziwiania.

Andrzej Wołosewicz



Kazimierz Kochański, *Książka z wierszami*. Na okładce i wewnątrz obrazy Anny Merskiej-Mitan. Korekta i opracowanie typograficzne: Irena Nyczaj i Paweł Nyczaj. Wydawca: Irena Nyczaj, Kielce 2025, s. 80.

W labiryncie wiersza

Poetka i tłumaczka, nagradzana w ogólnopolskich konkursach opublikowała niedawno w Wydawnictwie ANAGRAM swój drugi tomik pod tytułem „gra w algi”. Autorka zaskakuje nas już od samego początku. Zaprasza czytelnika do gry „w labirynting”. Oznacza kolejno cyframi wszystkie wiersze. Potem manewruje wszystkimi liczbami, od jednego do pięćdziesięciu. Dokładnie tyle jest wierszy. Na koniec mamy zawrócić i zacząć znów od jedynki. Poetka zaprasza do gry i wędrówki. Nie będzie to droga łatwa, ani wiersze proste. Język tej poezji pełen jest neologizmów, przypomina chwilami strumień świadomości. Charakterystyczne jest rozluźnienie frazy, o którym sama wspomina w wierszu „odmówina”,

i bardzo nieoczywiste metafory. Wiersze są często oniryczne, wyłowione z krainy snu, z podświadomości. Dużo bardziej osobiste niż te w książce „perpendykiel”, pierwszym tomiku **Anny Luberdy-Kowal**, gdzie pojawiają się kojarzące się z reportażową wizją świata obserwacje z krakowskiego Kazimierza, z Jerolimy, Doliny Cedronu, warszawskiego Grochowa.

W „grze w algi” jest to przede wszystkim obserwacja sfery wewnętrznej, życia uczuciowego, myśli i refleksji autorki, jej rozmowa ze sobą. Poezja jest tu jak „odlew oddechu”, podobnie jak u Wojciecha Kassa, którego poetka cytuje. To jak najbardziej osobista wymiana ze światem, podtrzymująca życie jak oddech. Interesująca jest też ciągła zmiana perspektywy narracyjnej, opowieść o sobie z różnych punktów widzenia: ja, ty, on, ona. Pojawia się obserwacja siebie i swoich uczuć z dystansu, z innej perspektywy. Partner gry-rozmowy okazuje się kimś, kto pięknie mówi do/o autorce wyobrazonej gry. Tytuł wiersza „ani ani” jest aluzją do imienia poetki, ale odnosi się również do zwrotu językowego „ani tak, ani tak”, „ani w lewo, ani w prawo”, czyli żadna z faktycznych możliwości, jesteśmy ponad nią, co sugeruje, że jest to świat wyobrażony. Ta relacja uczuciowa to „kilka słów do obrazu / którego nie będzie” (z wiersza „patrz na nią”). Wyobrażony partner porównywany jest z wierszem: „a jednak rymujesz mi się ze wszystkim” („miniatura z paragonem”). Wspomnienie związku niemożliwego to „uniesienia żary pokątne nazwy ciał”. Dlatego pojawia się uczuciowy ból i zwątpienie: „sucha trawa prędzej spłonie niż się podniesie” („spektrum belki”). Epifania, objawienie, nagłe ośnienie, ukazanie się bóstwa okazuje się złudą. Pojawia się więc rozczarowanie, a na nie lekarstwem jest „czysta poezja od bólu” („Karuzelnik Walentego”). Wiersze są jak środek na ból. Nasze lęki, strach i cierpienie, dużo tu tego, o wiele więcej niż w „perpendyku”. „Nasze lęki są takie jak powody zaistnienia” („przekręto”), przerażenie złem, śmiercią, zaniepokojenie przemijaniem, zawsze i dla każdego związane z życiem. Rezultatem jest zagubienie poetki, wynikające nie tylko z niemożliwej miłości: „labirynt jakby mój lecz ściany znów inne” („nie wiem gdzie mam siebie”). Każdy korytarz w labiryncie kończy lustro. Poszukiwanie siebie jest głównym motywem tego tomiku, bardzo uniwersalnym. Szukamy dobra i raju: „raj musi być obok czekaj znieruchomiej” („ćmoliście”). A może życie jest tylko snem – sugeruje autorka. Wtedy łatwiej wszystko znośmy: „a jeśli wszystko co się wydarza / to moment najgęstszy przed wybudzeniem” („nie czytaj”).

Pojawiają się też inne ciekawe refleksje, tym razem na temat codzienności. Na przykład, że zabawy przy trzepaku były przed laty więcej warte niż dzisiaj wszystkie media społecznościowe („podróż za jeden banan”). Jednak dzieciństwo nie było sielanką. W brzoowej walizce babci „nigdy / nie było cukierków / pakowała chłód / zanim zdążył odtajać / kiedykolwiek”. W tym trudnym świecie trzeba czuć odpowiedzialność za słowa, szczególnie dotyczy to poetów. W wierszu

„dąktylos” Anna Luberd-Kowal ostrzega, że nie można „zaraźliwie zabić człowieka w naszych ustach”. W takim to niełatwym uniwersum często oddalamy się od drugiej osoby, która też często porusza się w labiryncie. Można jednak wyjść z błędnego koła i gmatwaniny, trzymając się mitycznej nici Ariadny. Jest nadzieja: „będziesz tu wracać / po szpulce / do nitki” („leżąca ósemka”). Można też wyfrunąć górą, jeśli poskleja się nitki u ramion, które będą jak skrzydła. Nie trzeba czekać na przebudzenie.

Duża wartość tomiku Anny Luberd-Kowal polega też na unikalnym zderzeniu tradycji i nowoczesności. Autorka nawiązuje do greckiej i egipskiej mitologii, do motywów biblijnych, wspomina Zeusa, Feniksa, Ikara i żonę Lota. Czerpie z wątków kultury śródziemnomorskiej w sposób jak najbardziej współczesny. Píše o Michale A. (Michał Anioł) i jego rzeźbie Dawida. Wspomina o Dancie. Ale Dante „jest na haju” („Karuzelnik Walentego”). Jak widać, to język nowoczesny i współczesne spojrzenie poetyckie. Nowatorskie są też neologizmy stworzone przez poetkę. „Epiphanka”, „epifun”, „labirynting”, „ćmoliście”, „wpuklanie” to tylko niektóre z nich. Metafory też są pomysłowe. „Leżąca ósemka” może kojarzyć się z nieskończonością, poetka jak książka, a życie może być „jak zaschnięte kropkle atramentu w miseczce” („przekazu nie będzie”).



Anna Luberd-Kowal
gra w algi

Pomimo wielu smutnych wątków tomik kończy się optymistycznie. W przedostatnim wierszu pojawia się bajka, której nie chciała opowiedzieć babcia. Szukamy optymizmu, „żeby na poduszce zapachniał tatarak...” („niedomknięta”). I gdy tatarak jeszcze faluje, słyszymy „skrzyp furtki zwodzącej pomostem”. Pomost do drugiego człowieka jest możliwy. I w ostatnim wierszu: „jeszcze rozmydli się rozwidli / i roznieboskłoni / jeszcze trzymać się będziemy swoich snów / jak masztów świata” („labirynting”). I końcowe słowo „zawróć” i znowu cyfry od pierwszego do pięćdziesiątego. Wracamy do wiersza z początku. A ten zaciągający tytuł książki?

Mógłby kojarzyć się ze słowami Wojciecha Młynarskiego „jeszcze w zielone gramy” do piosenki, też optymistycznej. „Gra w algi”, w zielone wodorosty. Alga to artystyczny pseudonim Anny Luberd-Kowal. Czyli „gramy” w poezję? Wychwytujemy ukryte sensy i znaczenia? Schowani pod artystycznym parasolem, ukryci pod pseudonimami?

Małgorzata Kulisiewicz

Anna Luberd-Kowal, *gra w algi*. Wydawnictwo ANAGRAM, Warszawa 2025, s. 68.

Giganci odchodzą albo listopad i literatura

Listopad to okrutny czas dla literatury, bo odruchowo niemal odżywają w nas wspomnienia po nieobecnych już koleżankach i kolegach po piórze. Chcę tę listopadową okrutność złamać pisząc o czterech Gigantach literatury: Andrzej Tchorzewski, Krzysztof Gąsiorowski, Zbigniew Jerzynie i... Marku Wawrzkiewicz. Ostatni z nich to właśnie to przełamanie, bo – mam dla Państwa dobrą wiadomość – Wawrzkiewicz jeszcze żyje! I pisze!

Andrzej Tchorzewski zmarł w tym roku, w maju. Kolejny z wielkich naszej literatury. Znałem Andrzeja przez ostatnie dekady jego życia. I jego twórczość. Dzielił się więc wspomnieniem na kanwie ostatniego tomiku Andrzeja zatytułowanego „Miedza i miecz”, a wydane już po śmierci autora staraniem Aldony Borowicz, żony i towarzyszkę życia Tchorzewskiego.

Zmarł Andrzej Tchorzewski. Nasz poetycki świat znowu się skurczył. Andrzej dożył sędziwego wieku, odszedł mając 88 lat. Zawsze się mówi, że poeci odchodzą, ale ich wiersze zostają. To tak jest, ale to nie to samo – ja wolę świat wierszy razem z ich Autorami.

Patrzę na zdjęcie uśmiechniętego Andrzeja z ptakiem, który usiadł mu na ramieniu. I mam takie skojarzenie, że był On takim Kolorowym Ptakiem naszej poezji, bo szybko w rejonach dla wielu niedostępnych, miał przywilej i umiejętność patrzenia na poetyckie łąki z góry. A to dzięki fenomenalnej erudycji już coraz rzadziej spotykanej. Był Andrzej analitykiem poezji operującym swoim krytycznym skalpelem do granicy niepojmowalnej dla wielu z nas lingwistyki literackiej, co budziło zdumienie, a czasami strach czy nerwowość słuchaczy. Mógł to robić godzinami. Piszę o tym, bo czasami, ale tylko czasami udawało mi się nadawać z Nim na tej samej częstotliwości, a przynajmniej częściowo

za Nim nadążać. Nasz poetycki świat stał się uboższy o Wielkie Pióro.

W przypominanym przez Grzegorza Trochimczuka wierszu Andrzeja cytuję On żonę i literacką towarzyszkę życia Aldonę Borowicz:

*Nie masz o czym To nie pisz
Nie schlebaj nawykowi wykupionym
z niewoli myśli lub języka*

*Żona mi mówi
A wiem Że nie kłamie.*

Patrzę do Wikipedii. Trzyście tomików Andrzeja. Ostatni z wymienionych to *Chroniąc oczy przed korozją. Wybór poezji*, tomik z 2012 roku. Dawno już. Andrzej zostawił nas w 2025. Jaki to był czas, czas poetyckiego milczenia? Pytam, Aldonko, bo nie wiem na ile Wikipedia jest aktualna. A może wolno nam żywić nadzieję na Jego głos z tych ostatnich kilkudziesięciu lat? Ty wiesz najlepiej. Pytam, bo mam – dzięki Marcinowi Jerzynie – takie doświadczenie z wierszami jego ojca, Zbyszka po ostatnim wydanym tomiku. A w poezji kilkanaście lat to czas jest nad wyraz długi. Usłyszmy jeszcze Jego głos? Usłyszmy, już to wiem. Miałem tę przyjemność, że czytałem maszynopis „Miedza i miecz”, tomiku Andrzeja przygotowanego przez Aldonę do wydania u Adama Marszałka.

Piszę o Gigantach, których nie ma, o moich bardzo prywatnych wspomnieniach z ich odchodzenia, bo miałem honor ich znać i być z ich twórczością do końca, a nawet „maczać” palce w wydaniu dzieł – już niestety – pośmiertnych. Powyższe wspomnienia o Tchorzewskim są moim posłowiem do „Miedza i miecz”. Aldona zobowiązała mnie i Pawła Łęczuka do pomocy przy wydawaniu – taki ma zamiar – spuścizny twórczej po Andrzeju, tej znanej niepublikowanej, a znanej jej z szuflad i rękopisów. Mam nadzieję, że zdążymy zanim dołączymy do Andrzeja...

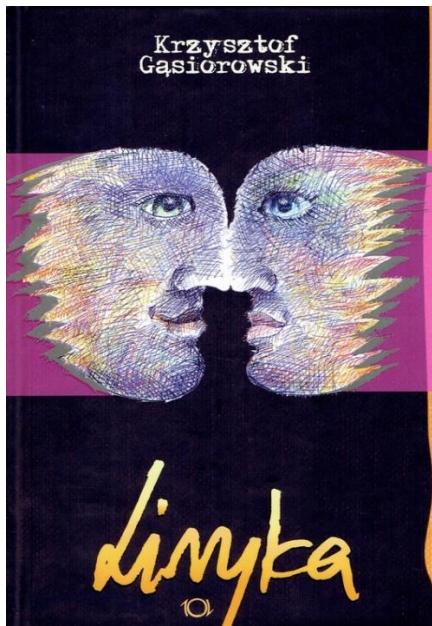
Krzysztofowi Gąsiorowskiemu (zmarł w styczniu 2012 roku) poświęciłem wiele uwagi, wiele tekstów (ukazywały się także, a może przede wszystkim na łamach „Migotań”), nie będę tutaj wracał do nich. Chcę natomiast wspomnieć właśnie wydawanie, też traumatyczne!, „Liryki” Krzysztofa, największego (jak dotąd) wyboru jego wierszy, który ukazał się w roku... 2018, a więc 6 lat po śmierci poety. Ale zacząłem wraz z Krzysztofem pracę nad wyborem około 2009 roku. Uderzyliśmy do Wydawnictwa „Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza”, które miało dobre chęci, ale nie miało pieniędzy i zgodziło się wydać o ile... autor sam to sfinansuje. Nie było takiej możliwości, a i Krzysztofa zajmowały bardziej duże kłopoty zdrowotne niż myślenie o swojej spuściznie literackiej. Proza życia zatruwała nad poezją! Sprawa upadła, a zadra po niezrealizowanym przedsięwzięciu pozostała. Los chciał, że jesienią roku 2017 – po wielu latach – wróciła do kraju siostra Krzysztofa, Małgorzata i zdecydowała się wydać wiersze brata w jakimś obfitszym spektrum. Poprzez Bohdana Wrocławskiego do-

(Dokończenie na stronie 20)

Giganci odchodzą albo listopad i literatura

(Dokończenie ze strony 19)

tarła do mnie (to wszystko znajdziecie w notkach właśnie wierszy wybranych Gąsiorowskiego „Liryka”), a ponieważ znaleźliśmy się i wcześniej, dogadaliśmy się na przełomie listopada i grudnia 2017 roku i zabrałem się do pracy. Pamiętam jeszcze, że Małgosia zaprosiła mnie na spotkanie w drugi dzień Świąt, ale ponieważ Święta tradycyjnie spędzam z rodziną, grzecznie odmówiłem. A po dwóch dniach zadzwonił wydawca. Lech Robakiewicz ze smutną informacją, że Małgosia zmarła i z pytaniem, czy w takim razie ciągniemy sprawę dalej, bo oczywiście pojawiły się kwestie finansowania. Udało się. „Liryka” ukazała się wiosną 2018 roku (spłata zobowiązań finansowych, które z tej okazji podjąłem zajęły mi następne kilka lat, ale nie żałuję tego wysiłku).



Kolejnym Gigantem, któremu towarzyszyłem w wydaniu też niestety pośmiertnym wyboru wierszy jest **Zbyszek Jerzyna**. Zbyszek zmarł w listopadzie 2010 roku, dwa lata przed Krzysztofem. Jeszcze jesienią tegoż feralnego 2010 zbieraliśmy się do świętowania najświętszego wtedy tomiku Zbyszka „Sanecki”. Premierę promocyjną przesunęło niedomagające już bardzo zdrowie autora na tyle skuteczne, że tej premiery w ogóle nie było. Kiedy ukazał się zbiór „Liryka” Gąsiorowskiego, druga żona Zbyszka, Marta zaczęła rozmowy ze mną, aby – na wzór „Liryki” – wydać wiersze zebrane Jerzyna. Zapala starczyło jej na trzy nasze spotkania, a potem okazało się, że pełnymi prawami do wierszy ojca dysponuje syn, Marcin Jerzyna. Marcin mógł

skutecznie zająć się spuścizną swego taty kilka lat później, ale jego starania zwińczył sukces wydawniczy, bo w roku 2022 ukazały się „Wiersze” Zbigniewa Jerzyna, najobszerniejszy ich wybór, zawierający unikatowe, bo wcześniej nikomu nie znane utwory, które poeta pisał w ostatnich miesiącach, tygodniach i dniach swego życia. Sekundowałem Marciniowi i cieszę się ze swego udziału w tej publikacji. Natomiast martwiło mnie po tych dwóch przygodach wydawniczych, że w obu wypadkach były to wydania pośmiertne. Autorzy wyboru nie mieli już okazji sami ich zobaczyć ani brać udział w wyborze.

Postanowiłem w wypadku kolejnego Giganta, którym tu się zajmuję, **Marka Wawrzekiewicza**, doprowadzić do sytuacji odwrotnej, aby wybór wierszy był wyborem, który będzie mógł cieszyć także ich autora. Wyszędłem z inicjatywą pracy nad takim wyborem chyba ze dwa lata temu, sprzedałem pomysł na posiedzeniu Komisji Kwalifikacyjnej ZLP, pomysł spotkał się z aprobatą, a autor, z którym też się swoim pomysłem podzieliłem, jak to Marek, życzliwie przytaknął, nie wpadł w „cielęcy” zachwyt, pewnie wiedziony doświadczeniem, że od pomysłu do realizacji droga wyboista. I miał rację, bo z pomysłem zostałem sam. Że zajmują mnie też inne – zawodowe, związane z filozofią – obowiązki niż pasja do literatury, to znowu utknałem na czas jakiś. Ale udało mi się nie dalej jak w czerwcu tego roku „ruszyć z posad bryłę świata”. A to dzięki temu, że Marek ponagłany abyśmy do tegoż wyboru przystąpili oznajmił kategorycznie, że wybór jak najbardziej, ale bez jego udziału, że on wybierać nie będzie. Nie miałem – nomen omen – wyboru. Teraz jesteśmy na etapie finalizacji wydania „Wierszy wybranych” Marka Wawrzekiewicza (w Wydawnictwie Adama Marszałka, przyjaciela poezji i poetów albo poetów i poezji – Adamie sam ustal pasując Ci kolejność). Mam nadzieję, taką umowę zawarłem z Wawrzekiewiczem, że będzie on pierwszym z czwórki Gigantów, który zobaczy własny wybór wierszy. Po prostu zabroniłem mu umierać.

Marek Wawrzekiewicz więc tym smutnym wspominkom Gigantów, którzy kochali Literaturę z wzajemnością – choć ich prywatne oczekiwania i osobistą ocenę społecznego uznania, środowiskowego uznania nie mnie oceniać – nadaje jednak radosny wymiar, bo jest z nami, żyje. Ten radosny wymiar chciałbym pokazać na jednym, jednym wątku Markowej poezji – na przykładzie miłości, skoro o niej mowa. Wiersze Wawrzekiewicza o miłości są jakoś powtarzalne: wszystkie „takie same”, a każdy inny! Nie wiem, jak poeta to robi, próbuję się w tym tylko trochę połapać ponieważ są mi bliskie i dalekie jednocześnie. Bliskie, bo prawdziwe, dalekie, bo nie moje, bo nie rozpoznaję w nich swoich miłości – jedynie miłość w ogóle, miłość *jako taką* (powiedziałyby przemądrzały filozof). Marka wiersze o miłości dzieją się (najczęściej) nad ranem, u schyłku nocy, bardziej *po* niż w *trakcie*. Są cholernie powtarzalne, gdy się je spotyka, a właśnie tego doświadczyłem, siedząc „nad całym” Wawrzekiewiczem jego niemal siedemdziesięcioletnim już poetyckim urobkiem.

„Powtarzalność” jego wierszy jest zindywidualizowana (jakkolwiek nie logicznie to brzmi), wiodą nas od kobiet do kobiet, od nastrojów do zwątpień, od zachwytów po starczą rezygnację. Będziecie mogli już mam nadzieję – tej jesieni – ocenić to sami sięgając po „Wiersze wybrane” Wawrzekiewicza.

A jeśli już o miłości mowa, to jest jeszcze ta nadrzędna (chyba), bo nieustająca przez całe życie i nieustająco piękna, jakby nienasycona mimo upływu czasu, miłość do matki. Kończę więc ten tekst o odchodzących Gigantach wierszem ostatniego z nich, który jeszcze nas raduje swoją obecnością, jego pięknym wierszem, a jakże, o matce:

Matka

Niebo, w którym 12 grudnia zamieszkała
moja matka,
Nie jest przesadnie dostojne. Starawa
wersalka
Z wytartych chmur, w kącie błękitnej kuchni
Miniaturowa śnieżycą, w której chłodzi się
ambrozja
Przypominająca smakiem mleko lub herbatę.
Kilka ulotnych sprzętów
Nieziemskie hologramy rodzinnych zdjęć,
Telewizor z białym ekranem i radio
Nadające dobre, spokojne wiadomości.
Stół pływa na ciepłym strumieniu.
Matka unosi się nad nim. Nakrywa go
Kwitnącym lnem, rozstawia przejrzyste
talerze.
Musi być gotowa. Pewnie przyjadą synowie,
Może wpadnie Ojciec Pio. Po kolacji
Zagrają w remiką.
Jest mniej zgarbiona. Nareszcie
Odrośli jej włosy. Są jeszcze siwe,
Ale już powoli czernieją. Twarz gładka.
Tylko ręce nie chcą się odmłodzić.
Nie można z nich wygnać zmęczenia.
Ale ogólnie jest nieźle. Przegląda się
w kryształ gwiazdy:
Ładnie jej w tym popielatym sweterku od
Teresy.

Patrzy na telefon.
Ma – nie wiadomo czemu – kształt serca.
A kiedy dzwoni świetlistą nocą
Zapala się w nim coś w rodzaju
Różowego płomyka.

Jeszcze trzeba odgrzać parówki cielęce,
Pokroić chleb niebieski tym co zwykle
promieniem,
Powiesić ręczniki z obłoków
Na wierzbie nad stawem.

Dobrze, że pogoda się wypogodziła.
Łagodne słońce świeci z wszystkich stron.
Zdążą, zdążą przed złotawym zmrokiem.

Już jedziemy, Mamusiu.

Marzec 2003

Do puenty tego wiersza dodam tylko:
jeszcze nie Marku, jeszcze nie...

Andrzej Wołosewicz

Filozofia codziennosci prof. Marii Szyszkowskiej (229)



Fot. Andrzej Dębowski

Te grupy społeczne miały przywilej stałego pokoju. Dziś media donoszą o zabijaniu ludności cywilnej w czasie wojen w XXI wieku. Innym przejawem średniowiecznych ograniczonych koncepcji pokoju był kodeks etyki rycerza chrześcijańskiego nie dopuszczający walki w złej sprawie. Ten kodeks etyki określał jak rycerz ma walczyć. Jeszcze innym przejawem ograniczonych koncepcji pokoju, była teoria tysiącletniego królestwa pokoju. Głoszono, że wprawdzie wzmagają się wojny, ale tysiąc lat przed końcem świata nastąpi królestwo trwałego pokoju. Zaprowadzi go Bóg, bowiem dziełem człowieka są wojny.

Powstaje pytanie retoryczne, dlaczego z fundamentalnej zasady prawa naturalnego na gruncie chrześcijańskim – dobro należy czynić, zła należy unikać – nie wyprowadza się w drodze wynikania nakazu trwałego pokoju. Nadanie pokojowi wartości prawnonaturalnej umożliwiłoby legalny opór społeczeństw wobec decyzji rządów, by prowadzić wojny. Wszak za zabicie człowieka w warunkach pokoju grożą wysokie kary, natomiast zabicie człowieka na wojnie jest patriotyczne i bohaterskie, otrzymuje się ordery.

Pragnę wyraźnie podkreślić, że zmiana świadomości, a nie same przemiany gospodarcze, może doprowadzić do pokoju. A więc do stanu w którym, mówiąc słowami Kanta, człowiek będzie traktowany jako cel sam w sobie a nie środek do celu.

Uważam, że należy mieć szacunek dla Austrii, która po klęsce w czasie II wojny światowej, wybrała status państwa neutralnego. Zapewne ta decyzja była spowodowana wcześniejszą aprobatą dla faszyzmu i mocnego zaangażowania się po stronie Hitlera.

Pacyfizm, bywa, że jest zespolony z wierzeniami religijnymi, ale generalnie ruch pacyfistyczny w kulturze europejskiej ma charakter areligijny. Zresztą religia powinna pozostawać osobistą sprawą jednostek i być rozdzielana od wiedzy naukowej, polityki, prawa, czy reform społecznych.

Powszechnie wiadomo, bo wiele się o tym pisze i mówi, że literatura piękna podtrzymywała przez lata naszą świadomość narodową. Pełniła szczególną rolę w okresie rozbiorów.

Wiadomo o sile oddziaływania literatury pięknej, co pozwoliło przetrwać w obozach, czy w więzieniach. Mało natomiast zwraca się uwagi na to, że wielkie dzieła literackie pełnią istotną rolę w podnoszeniu naszego człowieczeństwa na wyższy poziom. Bohaterowie literatury mogą stawać się wzorem do naśladowania, zaszczepiać pacyfizm.

W szkołach od wielu lat dozwala się na czytanie bryków. Prowadzi to do zubożenia światopoglądu osób ograniczających się do czytania streszczeń utworów literackich. Zubożenie wyraża się także w języku. Wszak poezja i proza uczą nazywać to, co zdawałoby się niewyrażalne. Zubożony język – w rezultacie nie czytania książek – prowadzi do zubożenia psychiki.

Nie jesteśmy jednakowi. Wykształcenie, zamożność, miejsce w hierarchii społecznej, talenty, wprowadzają różnice między nami. Ale te najgłębsze różnice między ludźmi dotyczą poziomu rozwoju uczuć, wrażliwości, wyobraźni. Edukacja na naszym kontynencie kształtuje sferę intelektualną mimo, że o wartości człowieka decyduje przede wszystkim sfera emocjonalno-wolitywna. Zawiera się w tym paradoks, bo to, co najistotniejsze, co decyduje o człowieczeństwie pozostaje na dalekim marginesie zorganizowanej edukacji.

Poza wyjątkowymi domami rodzinnymi, nikt nie pomaga w podnoszeniu poziomu uczuć, w wzbogacaniu wyobraźni, w wyzwaniu zdolności do empatii. Problem ten nie może być dla nikogo obojętny, ponieważ niebezpieczne są osoby mające rozwiniętą sferę intelektualną ale odznaczające się niskim poziomem rozwoju sfery emocjonalno-wolitywnej. Spożytkowują rozum dla zaspokajania namiętnej chęci władzy i pieniędzy. Rozum pozostaje na usługach ich popędów. Pozwala na to niska wrażliwość i brak empatii.

Symbolem człowieka jest pielgrzym zdążający z uporem przed siebie, także polnymi drogami, ku temu, co ostatecznie nieosiągalne. Stawanie się a nie stagnacja powinna nas charakteryzować. Właśnie literatura piękna pełni istotną rolę w budzeniu świadomości i dodawaniu sił do uporczywej wędrówki, jak również kształtowania pacyfistycznego światopoglądu.

Od pokoleń jesteśmy nakłaniani do tego, by jako wartość najwyższą uznawać albo jednostkę, albo jedną ze zbiorowości, a mianowicie bądź naród, bądź państwo, bądź społeczeństwo. Jednostka jest wówczas pojmowana jako element całości. Gustaw Radbruch, wybitny niemiecki filozof XX wieku, wskazał natomiast jako wartość nadrzędną kulturę stwarzaną przez człowieka. W dziejach ludzkości były partie polityczne i stowarzyszenia głoszące indywidualizm albo ponadindywidualizm, ale nie było dotąd ugrupowań zachęcających żywe pokolenie do wzmożonego wysiłku kulturotwórczego, a w tym tworzenia prozy, dramatów, malarstwa. Radbruch ocenia to jako paradoks, który występuje w każdym pokoleniu.

Paradoks zawiera się w tym, że żywych nie nakłania się do twórczości kulturowej, w tym literackiej, a pokolenia minione ocenia się stosownie do wartości dzieł kultury, które

pozostawiły po sobie. A więc czegoś innego oczekuje się od tych, którzy żyją a potem według innego kryterium ocenia się tych, którzy przeminęli. Każde pokolenie od wieków składa się do udziału w wojnach, które także niszczą dzieła kultury.

Pacyfści domagają się zakazu prowadzenia wojen i likwidacji armii. Głoszą protest wobec wszelkiej przemocy, a także zakaz kary śmierci. Z pacyfizmem wiąże się również dążenie, by prawo do nieodbywania służby wojskowej uznać jak najrychlej za prawo człowieka. Pacyfizm spleta się z ideami ekologicznymi, aczkolwiek większość ekologów nie głosi pacyfizmu. Nową postacią pacyfizmu jest wegetarianizm, ale nie jest on aprobowany przez większość pacyfistów. Natomiast wszyscy pacyfści żądają likwidacji przemocy w hodowli zwierząt oraz zadawania im śmierci bez zbędnych cierpień i domagają się należytego szacunku dla nich. Troska, by nie zadawać cierpień zwierzętom spleta się z dążeniem do likwidacji głodu na Ziemi. Mianowicie można by przeznaczyć ziemię na której obecnie pasza dla zwierząt – na pola uprawne, gdzie rośnie by zboże, kukurydza, kartofle. Pacyfizm spleta się z postawą tolerancji i jej wyższej formy – empatii. Zamiast wrogości do tego, co odmienne – pacyfści wyrabiają w sobie dążenie do zrozumienia, przedstawienia siebie w sytuacji osób inaczej myślących, co prowadzi w konsekwencji do wzbogacenia duchowego człowieka.

Jedynie część pacyfistów uzasadnia swoje stanowisko moralnością; pozostali nadają mu sens immoralny. Dobro bywa rozmaicie interpretowane. Można rozmaite teorie etyczne zaliczyć do jednej z dwóch następujących grup. Po pierwsze, są teorie wskazujące na Boga jako źródło norm moralnych. W obrębie tych heteronomicznych teorii zaznaczają się nader istotne różnice. Duże licznie kościoły chrześcijańskie stoją na gruncie teorii słusznych, czyli sprawiedliwych wojen. Rozwinął ten pogląd św. Augustyn w V wieku. Część małych licznie wyznań chrześcijańskich – odwołując się do tego samego Dekalogu – głosi pacyfizm. Działania zgodne z wyznawanymi poglądami charakteryzują wyznawców małych licznie kościołów chrześcijańskich.

Druga grupa teorii etycznych, czyli należących do zakresu filozofii moralności, to teorie autonomiczne. Charakteryzują się tym, że wskazują na człowieka jako na źródło nakazów i zakazów moralnych. Mimo wielkiej różnorodności tych teorii, wspólny jest im pogląd, że moralność nie powinna opierać się o lęk przed karą Boga.

Deklaracje o moralności i nauczanie jej w Europie wiąże się ze zgodą na zabijanie człowieka przez człowieka w tak zwanych wojnach słusznych. Ten pogląd przeważa na naszym kontynencie. Ogół Europejczyków nie protestuje przeciwko wojnom mimo deklarowanej miłości do drugiego człowieka.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(74)

20 czerwca 2020

Rano, po wczorajszych burzach i wyładowania atmosferycznych, są zamglenia. Noc jednak jakoś przespałem. Obudziłem się o 5.00, gdy zaczął się w pokoju jakiś ruch. To mój sąsiad, który miał wczoraj operację z powodu kamieni nerkowych, wrócił na salę ze swoim łóżkiem. Od razu zajął się swoją komórką. Rozmawiał najpierw z rodziną, potem załatwiał jakieś sprawy związane z prowadzonym przez niego biznesem, wydawał polecenia, pytał o pewne sprawy i dawał wyjaśnienia. Wygląda na człowieka bardzo energicznego. Jak się później od niego dowiedziałem, ma 2 „niewielkie” restauracje i stąd konieczność takich rozmów nawet w szpitalu. Zupełnie go rozumiem i dodaję na koniec, że pańskie oko konia tuczy.

Powoli zaczyna się szpitalny nowy dzień. Przychodzą pielęgniarki, aby coś wykonać: zmierzyć temperaturę, poziom cukru we krwi czy ciśnienie. Podczas porannej wizyty rutynowe pytania w rodzaju np. jak się pan czuje? Odpowiadam zawsze grzecznie, że dobrze czy wszystko jest OK. Następnie salowe rozwożą śniadanie. Dziękuję, ale śniadania nie biorę. Boję się podobnego zdarzenia, jakie miałem z czwartku na piątek. Wlewają mi do kubka też herbatę, ale znów ją wyleję za jakiś czas do zlewu, niestety. Kiedy opróżnią mi worek z krwimoczem i zapiszą w karcie, zjeżdżam windą do sklepu. Oczywiście zakładając maseczkę. Bez maseczki można być tylko na sali. Kupuję wodę mineralną także na jutro. Lekarz zalecił mi podczas wizyty, aby pić dużo wody, przynajmniej 2 litry dziennie. Jedna butelka to za mało – powiedział. Kupiłem więc 3. Od mojego sąsiada z Biłgoraja, dostanę jeszcze jedną, gdy lekarz, ordynator, pozwoli mu opuścić szpital. Po dokumenty ma przyjechać w poniedziałek. Oprócz tego kupuję 2 jabłka, które zjem już w sali i które smakują mi, o dziwo, jak jakiś rarytas. To moje dzisiejsze śniadanie. Nic mi tu w szpitalu nie smakuje, choć jestem naprawdę mało wybredny. Na obiad zjem tylko pół talerza gotowanej marchewki. Na resztę jedzenia tylko spojrzalem, nic więcej. Przez jakiś czas wydaje mi się, że ustąpiło lumbago i jestem z niego już wyleczony, bo nie odczuwam dolegliwości. Prawdy jednak się dowiem, gdy wrócę do domu i gdy przestaną działać środki przeciwbólowe, którymi faszerują mnie przy pomocy kroplówek.

Dużo tu, w szpitalu, rozmyślam o mojej przeszłości, o popełnionych błędach i młodzieńczej niefrasobliwości. Niestety. Widzę to wszystko jak na filmie i bardzo wielu rzeczy żałuję. To taki mój szpitalny rachunek sumienia. Późno, lecz – jak mówią o nauce – nigdy nie za późno.

Mocz, który wydostaje się z pęcherza jest coraz czystszy, bez tych pooperacyjnych

farfocli, inaczej niż było w październiku ubiegłego roku, ale i tamta operacja był poważniejsza, poprzedzona kilkumiesięczną chemioterapią.

Mimo że głoduję, nie straciłem zbyt wiele na wadze, pewnie to zasługa dużej ilości wypitej wody mineralnej i kroplówek. Może dlatego nie mam apetytu i nie chodzę głodny? Na pewno coś jest na rzeczy, podobnie zresztą jak po chemioterapii.

Dziś piękny dzień, mimo że Rzeszów pokrywały ranne mgły. Potem się jednak wypogodziło, słońce nie przypiekało, ale było ciepło i przyjemnie.

21 czerwca 2020

Dzisiejsza noc z soboty na niedzielę, była wyjątkowo ciężka. Nie mogłem się wypróżnić. Dyżurny lekarz, przebudzony o godzinie 22.00 przez pielęgniarkę, wyszedł z pokoju i powiedział, że na noc nie robią lewatywy. Takie są procedury. Co jakiś czas musiałem więc biegać do toalety z przytroczonym workiem z krwimoczem i tam bezskutecznie stękać. Potem dostałem kroplówkę, która pomogła mi wyjść z dolegliwości gastrycznych, ale wypróżnić się dalej nie mogłem. Pofolgowало mi dopiero godzinę po północy i zdołałem zasnąć. Spałem do godziny 5.00. Gdy opróżniono mi worek na mocz, zorientowałem się, że mam zablokowany cewnik. Pielęgniarka powiedziała, że to dlatego, że piję mało wody, co oczywiście było nieprawdą. A cewnik może tylko wymienić lekarz. Patrzę co chwilę, ale mocz z pęcherza nadal nie spływa. O 7.00 decyduję się zapytać, kto odblokuje mi cewnik? Cemu pan o tym nie powiedział lekarzowi, gdy chodził po salach – odburknęła pielęgniarka. – Lekarza na oczy nie widziałem – mówię. Może byłem wtedy w łazience, bo co chwilę tam biegam. – W końcu idę do pokoju lekarzy i pukam do drzwi. Wychodzi z nich lekarz dyżurny. Mówię o zablokowaniu cewnika. Proszę pójść pod pokój zabiegowy, zaraz tam będę! Przychodzi za chwilę i wymienia mi cewnik, potem poleca pielęgniarkę zrobić mi lewatywę. Ból ustępuje. Mocz zlatuje do worka. Za chwilę czuję się tak, jakbym na nowo się narodził.

Pogoda jest dziś piękna, choć przez telefon ostrzegają przed gwałtownymi ulewami, burzami, gradobiciem, a nawet podtopieniami. A tak niedawno modliliśmy się w kościołach o deszcz. Gdy czuję się już lepiej, spaceruję po pokoju z przytroczonym do kieszeni workiem na mocz i obserwuję drzewa i ptaki latające wokół. Z okna jest też widok na wzgórze otaczające Rzeszów. Rozmyślam i filozofuję. Choroba daje możliwość, aby poznać wielkość i małość człowieka. Kiedy siedziałem na sedesie i nie mogłem się wypróżnić, przypominałem małe skulone zwierzątko. Tak, dokładnie. A kiedy bóle ustępowały znów stawałem się człowiekiem. Fizjologia schodziła na bok i zaczynały się głębokie refleksje nad życiem.

Niebo było cały dzień zachmurzone, ale pod wieczór się rozpogodziło. Ustąpiły mgły. Panuje jakiś dziwny błogi spokój. Siedzę i

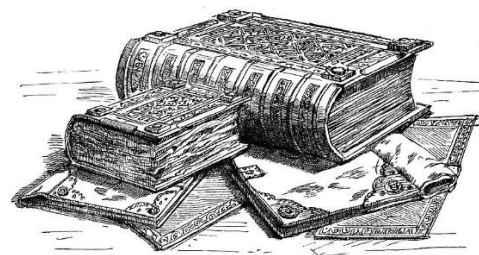
piszę. Co jakiś czas podchodzę do okna, by spojrzeć na drzewa rosnące wokół szpitala, na latające ptaki i odległe wzgórze, otaczające miasto.

22 czerwca 2020

Przygotowuję się od rana do powrotu do domu. Pakuję swoje rzeczy do torby, idę, a właściwie jadę windą do magazynu po spodnie, koszulę i buty. Mam wszystko. Jestem w o wiele lepszej kondycji niż w październiku ubiegłego roku, gdy musiano mi robić lewatywy, żebym mógł w ogóle opuścić szpital. Gdyby mnie wtedy nie zabrał samochodem pan Andrzej i jego córka, to nie wiem, jak bym dotarł do domu. Było naprawdę źle. Wszystko mam wyłożone na łóżku, bym czegoś nie zapomniał. Dostałem też na własne życzenie od pielęgniarek majtkopieluchę. Ale chcę ją założyć dopiero przed odjazdem. Bo przecież może być różnie. A jak przyjdzie czekać na busa? Sekretariat nie może mi wydać dokumentów, bo nie ma lekarza, jest na operacji. Mam czekać, a także inni, tacy jak ja, aż będzie wolny i wszystko wypełni i podpisze. Salowa zagląda co jakiś czas i pyta, czy może już zmienić pościel dla następnego pacjenta. Mówię, że około 13.00 na pewno się wyniosę. Wszystko mam spakowane, ale nie dostałem jeszcze dokumentów. Przed 13.00 zachodzę do sekretariatu. Papiery już są. Teraz muszę podpisać ich odbiór. Idę do pielęgniarek, aby zdjęły mi wenflon. Niestety, podczas wyciągania krew zaczyna tryskać i pielęgniarka nakłada mi opatrunek oraz każe mocno przyciskać. I poczekać 5 min, aby się upewnić, czy krew została zatamowana. Teraz mogę kontynuować przebieganie, by założyć majtkopieluchę. Udaje się. Dziękuję pielęgniarkom za opiekę, mówię do widzenia, opuszczam oddział. Jest 15 min. po 13.00. Dobrze byłoby sobie skrócić drogę do busa i dojechać do centrum autobusem miejskim. Pytam portiera w bramie, skąd najłatwiej będzie mi dojechać. Radzą iść na przystanek obok starego cmentarza. To jest jakieś 100 m od szpitala. Za minutę mam autobus. Skrócić drogę o 2 przystanki, to wcale nie mała, tym bardziej że jestem obciążony torbami. Wszystko idzie po mojej myśli. Na dworcu będę o 13.45, a za piętnaście minut miał bus do Stalowej Woli. A o 15.30 – jak dobrze pójdzie – będę w domu. Wreszcie, po tygodniowym pobycie w szpitalu. Boże, co za ulga!

cdn.

Miroslaw Osowski



POEZJA

Andrzej Balio, *Niczyje*. Zdjęcie autora Luiza Greta Balio. Zdjęcie na okładce Małgorzata Południak. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy, Szczecin, Bezrzecze 2023, s. 54.

Grzegorz Bazylak, *Manekiny Rubensa*. Projekt okładki FŚL. Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2023, s. 76.

Maciej Bieszczad, *Pasaże*. Zdjęcie autora Valeria Marik. Zdjęcie na okładce Małgorzata Południak. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy, Szczecin, Bezrzecze 2023, s. 58.

Zbigniew Chojnowski, *Co to to*. Zdjęcie autora Krzysztof Dubiel. Zdjęcie na okładce Cezary Dubiel, *bez tytułu*, 2021. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy, Szczecin, Bezrzecze 2023, s. 58.

Drzazga mojej wyobraźni. 53. Antologia Warszawskiej Jesieni Poezji. Redakcja: Zbigniew Milewski, Zofia Mikuła, Artur Krajewski, Grzegorz Trochimczuk. Współpraca: Marek Wawrzekiewicz. Opracowanie graficzne, rys i DPT: Art K-Raj 2024. Korekta Zofia Mikuła. Wydawca: Związek Literatów Polskich, Warszawa 2025, s. 213.

Eligiusz Dymowski, *Krajobraz światłoczuły*. Wstęp: Wojciech Ligęza. Opracowanie graficzne: Karolina Limburska. Wydawnictwo Austeria, Kraków Budapeszt Syrakuzy, 2025, s. 88.

Jerzy Grupiński, *Epiki towarzyskie i kilka wierszy osobistych*. Na okładce oraz w aneksie wykorzystano afisza autorstwa Tadeusza Wyrwy-Krzyżańskiego, przygotowany na II Ogólnopolski Mityng Poetów i Krytyków (Poznań 1997). W książce wykorzystano ekslibrisy Jerzego Grupińskiego autorstwa: Jerzego Piotrowicza, Zbigniewa „Ikony” Kresowatego, Tadeusza Wyrwy-Krzyżańskiego, Jana W. Malika. Fotografia autora na skrzydełku – Grzegorz Grupiński (Malinowa 2025). Wydawca: Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Poznań 2025, s. 72.

Jerzy Jankowski, *Drobiazgi znaczące*. Redakcja, słowo wstępne, projekt okładki i zdjęcie na I stronie okładki: Andrzej Dębkowski. Zdjęcie autora na IV stronie okładki: Artur Krajewski. Wydawca: Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Żelów 2025, s. 44.

Adam Lizakowski, *56 wierszy*. Redakcja: Piotr Janicki. Korekta: Joanna Mueller. Wydawca: Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego, Białystok 2025, s. 106.

Adam Ochwanowski, *Wiersze dla Lidki*. Sonety niedokończone. Projekt okładki: Mariusz Stec. Aranżacja graficzna: Sylwia Bętkowska. Wydawca: Oficyna Poligraficzna APLA Sp.J. oraz Stowarzyszenie Klub Wodny „Kon-Tiki” w Pińczowie, Kielce 2025, s. 48.

Stefan Pastuszewski, *Na krawędzi*. Postłowie: Juliusz Rafeld. Redakcja: Aleksandra Lewek. Konsultacja: Marek S. Podborski. Okładka i ilustracje: Julia Jaskuła. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2025, s. 88.

PROZA

William Brewer, *Czerwona strzała*. Przełożył Jarek Westermarck. Projekt okładki Tomasz Majewski. Projekt typograficzny Robert Oleś. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 376.

John Cheever, *Wizja świata. Opowiadania amerykańskie*. Przełożył Krzysztof Majer. Wybór i przedmowa Julian Barnes. Projekt okładki Agnieszka Pasierska. Projekt typograficzny Robert Oleś. Obraz na okładce Kurt Kauper, *Man Lying Down*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2015, s. 402.

Kristiina Ehin, *Planeta pożeraczy serc*. Przełożyła Marta Perlikiewicz. Projekt okładki Ewelina Kruszevska. Projekt typograficzny serii / kolektyw kilku.com. Warsztaty Kultury, Lublin 2023, s. 92.

Zbigniew Prunel, *Pomiędzy*. Projekt okładki: Mirosław Jastrzębski. Wydawnictwo LTW, Łomianki 2023, s. 166.

Lamed Szapiro, *Wylej swój gniew. Opowiadania*. Z języka jidysz przełożyła Bella Szvarcman-Czarnota. Projekt okładki Artur Blusiewicz i Joanna Kogut-Blusiewicz. Portret Lameda Szapiry Artur Blusiewicz. Projekt typograficzny serii Tomasz Smółka. Warsztaty Kultury w Lublinie, Lublin 2023, s. 164.

Jolanta Szymska-Wiercioch, *Ja Jadwiga K*. Ilustracja na okładce, sztuczna inteligencja (Canva.com). Projekt okładki Jolanta Szymska-Wiercioch. Ridero 2023, s. 54.

DRAMAT

Aleksander Fredro, *Trzy po trzy*, tom 4. Postłowie i esej biograficzny Karol Samsel. Projekt okładki i stron tytułowych Piotr Tarasiuk. Na okładce wykorzystano rycinę *Portret Aleksandra Fredry* Franciszka Tegazzo ze zbiorów Biblioteki Narodowej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, s. 280.

Jarosław Jakubowski, *Sytuacja intymna. Sztuki teatralne*. Na okładce Pavel Danilyuk z Pexels CCo. *Biblioteka Toposu*, tom 216. Instytut Książki, Gdynia, Kraków 2023, s. 72.

William Shakespeare, *Dramaty greckie*. Przełożył i opracował Antoni Libera. Okładka,

obwoluta i strony tytułowe Włodzimierz Marcinkowski na podstawie projektu Anny Libery. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, s. 432.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Urszula Benka, *O sztuce nieświadomej*. Redaktor naczelny: Sławomir Sławczyński. Redakcja: Urszula Benka. Korekta: Urszula Benka, Patrycja Zygałdo. Indeks: Patrycja Zygałdo. Projekt okładki, opracowanie graficzne: DPT, EDITUS – Sławomir Pęczek. Na okładce wykorzystano obraz Gwendoliny Urbanowicz. Wydawca: AKWEDUKT – Oficyna Wydawnicza Klubu Muzyki i Literatury we Wrocławiu, Wrocław 2025, s. 447.

Andrzej Dębkowski, *O naturze słowa. Esej*. Redakcja, Projekt okładki i zdjęcie na I stronie okładki: Andrzej Dębkowski. Słowo wstępne: prof. Maria Szyszkowska. Zdjęcie na IV stronie okładki: Andrzej Walter. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Żelów 2025, s. 64.

Paweł Dybel, *Poezja rzeczy ostatecznych. O lirycie Stanisława Czerniaka*. Recenzenci: prof. Wojciech Ligęza, prof. Ryszard Nycz. Redaktor prowadząca: Krystyna Kiszelewska. Redakcja: Beata Bińko. Korekta: Barbara Smoleń. Indeks: Ryszard Kotyński. Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Błażków. Na okładce zamieszczono obraz Kazimierza Malewicz *Czarny kwadrat na białym tle*, 1914-1915 (domena publiczna). Wydawca: Instytut Badań Literackich Warszawa 2025, s. 306.

Jerzy Jankowski, *Po co ta książka czyli moje 40 lat z Jarocinem*. Redakcja: Jerzy Jankowski. Okładka: Rafał Lisowski, Jerzy Jankowski. Wydawca: PPHU Sigma sp.j., bez miejsca wydania, 2025, s. 80.

Sławomir Leśniewski, *Jerozolima 1099*. Ilustracja na okładce: Daniel Rudnicki. Redaktor: Barbara Kosiorek-Dulian. Korekta: Anna Wojnarowicz. Seria *Historyczne Bitwy*, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2021, s. 222.

Grzegorz Trochimczuk, *Wszystko, co nam się przytrafia...* Projekt okładki: Magdalena Skowrońska. Z cyklu: Biblioteka LiryDram. Wydawnictwo VERIDIAN, Warszawa 2025, s. 438.

Stanisław Witkiewicz, *Aleksander Gierymski*. Opracowanie tekstu wraz z komentarzami, wstęp i zakończenie: Krzysztof Żywczyak. Podpisy do obrazów we wkładce: Luba Ristujczina. Opracowanie graficzne: batur.pl. Projekt okładki: Aleksandra Zimoch. Zdjęcie na okładce: Aleksander Gierymski, *Morze*. Wydawnictwo SBM Sp. z o.o., Warszawa 2025, s. 224.

Miroslaw G. Majewski

Buszujący w antykwariatach

(6)

Mój Gdańsk. Ruda i inne opowiadania wydana przez wydawnictwo Marpress Gdańsk w 2013 roku jest najbardziej znaną książką Sławomira Majewskiego wydaną za jego życia. Po śmierci autora, jak to zwykle bywa, cena książki na Allegro poszybowała jakieś 100% w górę, i być może dlatego nadal jest dostępna. **Sławomir Majewski** to rodowity gdańszczanin, którego dziwne koleje losu zawiodły do miasta Miechów w Małopolsce.

Był wychowankiem malarza – poety Mieczysława Czychowskiego któremu poświęca opowiadania *Książę poetów*. Nie trudno domyślić się o czym może być zbiór opowiadań *Mój Gdańsk* napisany przez gdańszczanina, rocznik 1955, jak nie o dekadencjonalnej atmosferze cyganerii gdańskiej styku epoki Gomułki i Gierka, legendarnym już Rudym kocie, w którym to spotykała się artystyczna bohema trójmiasta. Książkę czyta się z wypiekami na twarzy, znajdujemy w niej echa Marka Nowakowskiego i... Alberta Camusa. Sławek Majewski, którego miałem przywilej poznać, z Olkusza do Miechowa jest około 40 km, byłem więc (na życzenie gospodarza) częstym gościem Sławka i jego żony Danuty artystki – malarki. W ciepłe dni siedzieliśmy w ich magicznym ogrodzie tocząc rozmowy o tak zwanej wysokiej literaturze, ściślej rzecz ujmując to ja wsłuchiwałem się w rozkminy Sławka na temat egzystencjalnych pism Camusa i Sartre'a w które Sławek nie za bardzo wierzył. Kiedyś zapytałem go czy przeczytał wszystkie tomy w *Poszukiwaniu straconego czasu* Prousta, wymawiając nazwisko (jak na profana) zgodnie z pisownią. Sławek, znający biegle kilka języków, spoznał na mnie wymownie po czym rzekł:

– Nie wypowiadaj chłopaczku przy mnie w ten sposób tego nazwiska. I potem dyskusja potoczyła się normalnym tokiem. Był zainteresowany tym co piszę, ale też pokazywał mi kawałki swojej prozy, którą miejscami można było wziąć za twórczość Hemingwaya, ale wystarczy sięgnąć po wspomniany przeze mnie zbiór opowiadań aby samemu wyrobić sobie zdanie o talencie Sławka Majewskiego któremu wystarczył status stałego współpracownika kwartalnika *Migotania*. Po jego śmierci żona wraz ze swoją przyjaciółką zebrały z komputera wszystkie teksty Sławka, które zostały opublikowane przez znaną krakowską oficynę wydawniczą Miniatura. Sławek nie dbał o swój literacki pijar, pisanie sprawiało mu przyjemność samo

przez się, tak, jakby pisał tylko dla siebie.

Na koniec chciałbym przytoczyć mały fragment opowiadania z tego zbioru:

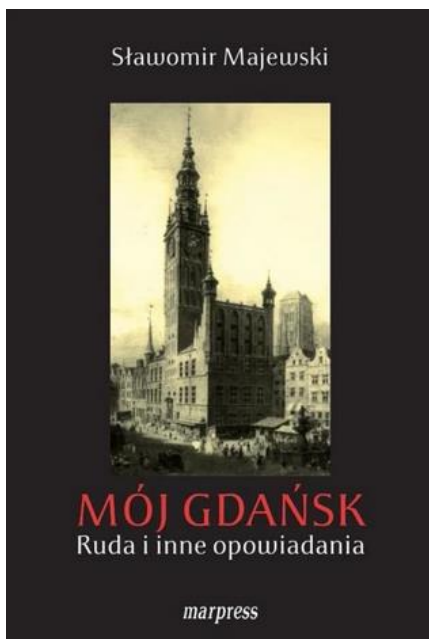
– *Śnie często.*

– *A co śnisz?*

– *A różności najróżniejsze. Na przykład wspomnienia włóczęg po lasach i moczarach, i jak się dym unosił sponad ogniska o poranku a dupa przymarzała do śpiwora w namiotiku na rozlewiskach biebrzańskich. Kiedy nie dawało ciepła gołe ciało, dziewczucha piszczła – chcę do domu!*

O, albo o tym jak wilki biegły zboczem połoniny a przed nami sarenka a my sobie wygodnie siedząc obok gara, w którym smoła się waży i śmierzdzi tak smolnie, że cieszy nas wizja piekła, pijemy bimber i żremy jakieś surowe grzyby. Marek gra na harmonii, on na gitarze, anieli na chmurach i wietrze. Pan Bóg gra na nich i wszystko zaczyna grać jak fisharmonia jaka.

Jestem pewien że Sławek pisze nadal na innych połoninach...



Sławomir Majewski, *Mój Gdańsk. Ruda i inne opowiadania*. Wydawnictwo Marpress, Gdańsk 2013.

Niech żyje... język!

Kiedy Karol Nawrocki zacznie mówić normalnie? To pytanie, które ciśnie się na usta po każdym jego publicznym wystąpieniu.

Właściwie nie tylko jego – wcześniej przecież ten sam dar językowego zawijania w srebro wykazywał prezydent Duda. Jakby wśród prominentnych funkcjonariuszy życia publicznego panowała jakaś nowa odmiana grypy – „choroba wielosłownia”.

Podczas gali kończącej XIX Konkurs Chopinowski Nawrocki dał prawdziwy popis. Usłyszeliśmy o „swoistej wirtuozerii” i „wielkiej kalorii intelektualnej żiri”. Brzmi to jak połączenie poetyckiego uniesienia z rozmową w barze mlecznym po czwartej kawie. Dalej było już tylko lepiej: „Chopin jest w istocie postacią historyczną” – no proszę! To naprawdę odkrycie na miarę doktoratu z autopromocji. A że „żał oddawał za sprawą nut”? No cóż, niektorzy oddają żal w nutach, inni w przemówieniach.



Rys. Barbara Medajska

I wreszcie perła wieńcząca wieczór: „Niech żyje Chopin!” Szczerze? Chopinowi, który zmarł w 1849 roku, ta deklaracja zapewne zrobiła tyle wrażenia, co dźwięk syreny strażackiej o piątej rano. Ale publiczność klaszcze – bo jak tu nie klaskać, skoro w tym wszystkim jest coś ujmującego szczerzego. Przecież w tych słowach nie chodzi o sens, tylko o rytuał, o wystudiowaną poważność. O pokazanie, że mówca wie, że mówi.

Tylko że od pewnego czasu nasz język publiczny zamienia się w dziwny spektakl, w którym wszyscy grają profesorów polonistyki połączonych z poetami ludowymi. Mamy więc „kalorie intelektualne”, „duchy dziejów”, „powiewy tożsamości” i „bieg dziejów przez wartości”. A pod spodem – pustka, jak po słodkim deserze z waty cukrowej.

Może więc zamiast „Niech żyje Chopin”, warto powiedzieć: **Niech żyje język – prosty, klarowny, ludzki.**

Bo jeśli dalej tak pójdzie, to niedługo w szkołach zamiast Mickiewicza będą tłumaczyć Nawrockiego z polskiego na polski.

Andrzej Dębkowski

Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Redaktor naczelny – **Andrzej Dębkowski**.

Współpraca: prof. Ignacy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Justyna Miszczak, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (44) 634 10 98; 504 63 05 43; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl